

PIĄTY ROZDZIAŁ tez zjazdowych jest najbardziej syntetyczny, ale traktuje o szczególnie istotnych zagadnieniach, a mianowicie o zadaniach w dziedzinie rozwoju badań naukowych, oświaty i kultury. Tak rozległa problematyka siłą rzeczy musiała być ujęta syntetycznie, natomiast sprawą dyskusji przedjazdowej jest konkretyzacja zadań szczegółowych. Niejeden z ważnych aspektów interesujących nas zagadnień podniesiono publicznie jeszcze przed ogłoszeniem tez, pod wpływem wydarzeń marcowych, które odstąpiły wiele niepokojących braków i nieprawidłowości. Aczkolwiek ówczesna dyskusja koncentrowała się głównie wokół spraw bieżących, ale — poza polemiką z reprezentantami wstecznych, rewizjonistycznych tendencji — zgłoszono wiele ciekawych propozycji. Sporo np. powiedziano na temat struktury polskiej nauki, w której zachowało się wiele relikwów dziewiętnastowiecznych, już dawno nie odpowiadających wymogom współczesności.

To zagadnienie jest mocno zaakcentowane w tezach zjazdowych, które generalnie rzecz biorąc, szczególnie uwagę zwracają na powiązanie nauki z życiem, z gospodarką narodową, zwłaszcza z przemysłem. Drugą nitią przewodnią jest problematyka pracy wychowawczej w szkolnictwie wszystkich typów i szczebli, a także zaan-

gażowania pracowników nauki w budownictwo socjalistyczne. Tezy jednoznacznie określają kierunki badań naukowych; nauka polska ma podejmować problemy pierwszoplanowe, szczególnie ważne dla gospodarki narodowej. W tezach czytamy:

„Większość potencjału badawczego kraju należy koncentrować na problemach o znaczeniu węzłowym dla dalszego rozwoju gospodarki i kultury socjalistycznej, dla komplekso-

cają intelektualnego kraju, o stworzenie warunków, które zapewnią procentowanie olbrzymich nakładów na rozwój nauki. Nie dysponując ostatnimi danymi, ale chociażby z zawartych w „Roczniku Statystycznym 1967” wynika, że wzrasta tempo tych nakładów.

W 1965 roku wydano z budżetu państwa ponad 2853 mln zł, a w rok później prawie 3551 mln zł. W 1966 roku działało w Polsce 261 placówek naukowo-badawczych, które zatrudniały 2206 samodzielnych

mika nakładów inwestycyjnych na ten cel powinna być większa od dynamiki wzrostu zatrudnienia, co zapewni niezbędną poprawę wyposażenia warsztatów pracy naukowej w nowoczesną aparaturę. Tempo wzrostu nakładów na badania i prace rozwojowe w latach 1971—1975 powinno być większe niż w planie bieżącej 5-latki”.

A więc nakłady na naukę będą jeszcze większe, lecz

nie lata przyniosły znaczny postęp w zakresie wykorzystania nauki także w innych dziedzinach gospodarki; wspomnę tu chociażby o radach naukowo-ekonomicznych czy naukowo-technicznych przy niektórych prezydium WRN. Np. we Wrocławskim obydwie strony, a więc Prezydium WRN i naukowcy wysoko sobie chwalą taką współpracę. Niemalymi osiągnięciami wykazała się Rada Naukowo-Ekonomiczna przy Prezydium WRN w Warszawie, która składa się z siedmiu sekcji, w tym planowania regionalnego. Pod kierownictwem prof. dr Stanisława Berezewskiego, sekcja ta rozpatrywała m. in. metody opracowania sieci osadniczej oraz plan zagospodarowania przestrzennego regionu podwarszawskiego. Także w woj. rzeszowskim znajdziemy sporo przykładów współpracy przemysłu z nauką, zwłaszcza z Wyższą Szkołą Inżynierską, która zajmuje trwale miejsce w panoramie przemysłowej regionu, a istniejąca przy niej Rada Przemysłowa obok naukowców skupia także przedstawicieli przemysłu. Duży był również wkład przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych z kilku ośrodków akademickich w opracowanie planu przestrzennego zagospodarowania ziem górskich i zagłębia siarkowego. Jeden z wniosków w dyskusji przedjazdowej w sprawie związków nauki z życiem naszego regionu, winien dotyczyć powołania przy Prezydium WRN rady naukowej, która by łączyła wysiłki miejscowych naukowców i przedstawicieli innych ośrodków.

Niejako na marginesie tej kwestii wysunę jeszcze jeden wniosek: Rzeszowskie w coraz większym stopniu wzbudza zainteresowanie przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych. Wyniki ich badań jakże często w najlepszym wypadku są publikowane tylko w specjalistycznych pismach w postaci komunikatów naukowych. Tym uczonym warto stworzyć u nas forum, by mogli prezentować swoje prace. Dla nich szeroko swe łamy powinny otworzyć poszczególne roczniki regionalne; zainteresowanie uczonych naszym regionem leży przecież jak najbardziej w interesie województwa. Prezentacje wyników badań naukowych, prowadzonych u nas przez poszczególne ośrodki rozpoczął Kwartałnik Rzeszowski „Profile”, co jego czytelnicy przyjęli z uznaniem.

Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na bardzo istotny postulat zawarty w tezach, raczej pomijany, zwłaszcza przez ludzi z dużych ośrodków naukowych. Tezy mówią o potrzebie właściwego rozmieszczenia kadr w placówkach podnadrzędnych różnym pionom organizacyjnym nauki, ze szczególnym uwzględnieniem ośrodków pozawarszawskich. Ten postulat jest dla tego ważny, że mimo wszystko obserwuje się wiele przejawów ograniczania inicjatywy terenowych ośrodków naukowych co jest niekiedy spowodowane zwyczajnym egoizmem, jeśli nie instytucji, to ludzi niechętnie patrzących na awans tzw. prowincji. Z

Zdzisław Kozioł

NAUKA W TEZACH ZJAZDOWYCH

wego wykorzystania bogactw naturalnych kraju i optymalnego zagospodarowania poszczególnych jego regionów. Wybór takich zadań powinien być dokonywany przez właściwe organa państwowe i gospodarze przy ścisłej współpracy środowiska naukowego. Dla zabezpieczenia rozwoju szczególnie ważnych dziedzin gospodarki należy opracować rządowe programy badawcze”

Właściwie nie są to nowe postulaty, były one już uprzednio wysuwane, ale obecnie podniesiono ich wyjątkowo duże znaczenie. Należy je chyba rozumieć następująco, chodzi o właściwe wykorzystanie poten-

pracowników nauki i prawie 9,5 tys. asystentów, starszych asystentów i adiunktów oraz blisko 22 tys. pracowników inżynierjno-technicznych.

W sumie dysponujemy poważnym potencjałem intelektualnym i wcale niemalym zapleczem naukowo-badawczym. Tezy postulują dalszy rozwój tej dziedziny: „kluczowym zagadnieniem obecnego etapu rozwoju nauki i techniki w Polsce jest wydatne wzmocnienie bazy materialno-technicznej placówek badawczych i rozwojowych oraz szkół wyższych. Dyna-

chodzi o ich efektywne wykorzystanie. Wspomniałem uprzednio, że nie jest to postulat nowy; wokół tych zagadnień toczyły się ożywione dyskusje, a zgłaszane zastrzeżenia świadczyły o niezrozumieniu współczesnej koncepcji wykorzystywania nauki dla celów praktycznych, przynoszących realne korzyści społeczeństwu. Podnoszono np. taką sprawę, jak pogodzić zainteresowania uczonego z interesem społecznym, jakim dziedzinom należy przyznać priorytet, na czym ma polegać współpraca ośrodków naukowych z organami władzy.

Jakże często zajmowano stanowiska skrajne, co utrudniało osiągnięcie konkretnych rezultatów, szczególnie wówczas, gdy szermowano skądinąd niezwykle ważnym postulatem wolności nauki. Długo pokutowało bagatelizowanie spraw, z którymi na co dzień borykał się przemysł czy inne działy gospodarki narodowej. Zilustruję to przykładem, może nie najważniejszym, ale bardzo wymownym. Rozwój szkolnictwa dla pracujących wynikał z dużego zapotrzebowania na wysoko kwalifikowanych specjalistów, których brak przemysł dotkliwie odczuwał. Lecz niejeden pracownik nauki nie doceniał tego działu kształcenia, wręcz ignorował te potrzeby, co uwidaczniało się chociażby przy ustalaniu tematów prac dyplomowych, które były podporządkowane zainteresowaniom promotora czy kierownika katedry, a nie potrzebom przedsiębiorstwa. Przewyciężenie tej praktyki przyniosło poważne korzyści obu stronom; efekty w postaci dużych, często kilkumilionowych oszczędności w wyniku naukowego opracowania jakiegoś zagadnienia technicznego czy technologicznego przekonały przedstawicieli przemysłu, że bez nauki nie jest możliwy postęp, natomiast ośrodki naukowe znalazły w przemyśle ważnego inspiratora.

Ta współpraca znajduje coraz więcej zwolenników ku zadowoleniu obu stron. Ostat-



Fot. M. KOPEC

(Ciąg dalszy na str. 2)

Sopot 22 — 25 sierpnia 1968

Maraton „Bursztynowego Słowika”

W czwartek ponad 4 tysiące wielbicieli piosenki powita w sopockiej Operze Leśnej uczestników VIII Międzynarodowego Festiwalu Piosenki. I tak przez 4 wieczory do późnych godzin nocnych piosenkarze z 28 krajów walczyć będą o cztery nagrody — laur „Bursztynowego Słowika”.

Atmosfera festiwalowa opanowała Sopot już dziś. Ostatni makijaż miasta, opery i terenów do niej przyległych. W niedzielę oczekuje się pierwszych gości, a w poniedziałek rozpoczyna się próba solistów z orkiestrą Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debicha i katowickiej Telewizji pod batutą Ireneusza Wikarczyka. Do czwartku zostaną nagrane najciekawsze piosenki, tak że w czasie festiwalu będzie można już nabyć — co stało się tradycją — płytę „Sopot 1968 r.”.

Opera Leśna otrzymała nowy dach — parasol. Czy ładniejszy? — Ano, zobaczymy! Wiadomo jedynie, że to trzeci z kolei prototyp parasola — giganta, nad którym pracowali 3 wytwórnie w Pabianicach, Trzebinii i Czestochowie. Powierzchnia tego cudeńka liczy 5 tys. metrów kwadratowych, jego ciężar — 7 ton! Poprzedni „parasol” był o 1,5 tony lżejszy i o 700 m kwadratowych mniejszy. Podobno teraz, nawet przy największej ulewie nikt w Operze Leśnej nie zmoknie!

Na festiwal złożą się 4 koncerty, ale tylko trzy będą punktowane. Inauguracyjny koncert — w tym roku pod tytułem „Piosenka nie zna granic”, w czasie którego uczestnicy wykonują najlepsze utwory ze swego repertuaru, odbędzie się bez jury. Ta nowość jest realizacją postulatów z lat ubiegłych. Idzie o to, by dać piosenkarzom pełne szanse przedstawienia swych możliwości artystycznych. Dalsze koncerty są już punktowane i ograniczone regulaminem. Drugi koncert wypełnią piosenki polskie śpiewane w językach ojczystych piosenkarzy, trzeci — piosenki krajów, które reprezentują uczestnicy. Finałowy koncert — „Dzień płytowy” wykonają specjaliści wysłannicy wytwórni płytowych, a oceniać będzie te produkcje również jury o zmienionym składzie.

Polską piosenkę na VIII Międzynarodowym Festiwalu w Sopocie przedstawiają: Irena Jarocka, Urszula Sipińska oraz byli rzeszowianin, używający bardzo pretensjonalnego pseudonimu artystycznego Stan Borys, czyli Stanisław Guzek. Polskie Nagrania natomiast zaprezentują: Halina Kunicka, Irena Santor, Jerzy Połomski, „Czerwone Gitary” i zespół skifflowy „NO TO CO”.

Polskę w międzynarodowym jury reprezentować będą: dyr. Mirosław Dąbrowski, dyr. Jacek Dobierski, red. Witold Filler, prof. Roman Heising, Andrzej Kurylewicz i dyr. Michał Rusinek. Wszystkie koncerty festiwalowe transmitować będą telewizje rzeszowe w Interwizji, część natomiast zamówiła Eurowizja.

Tradycyjnym już zwyczajem koncerty prowadzi Lucjan Kydryński w towarzystwie czterech pięknych przedstawicielek płci nadobnej: Błażeny Kocuchowej z Czechosłowacji, Walentyny Leontiewej z ZSRR, Helgi Vlahovic z Jugosławii i sympatycznej Edytki Wojtczak. Tak bogatego zestawu pre-

zenterów dotąd jeszcze nie było!

Zainteresowanie festiwalem sopockim jest z roku na rok większe. Już teraz komisja artystyczna zrezygnowała z udziału 20 piosenkarzy zgłoszonych przez różne wytwórnie płyt i rozgłośnie radiowe. Idzie bowiem o to, że koncert nie może dłużej trwać niż trzy godziny. To maksymalny czas koncentracji uwagi nawet najgorętszego wielbiciela piosenki. I chociaż w festiwalu bierze udział bezpośrednio 28 krajów, „Sopot 68” gościć będzie reprezentantów 31 państw. Perla Bałtyku na festiwalowe dni przekształci się w swoistą „wieżę babel”. Podobno uczestnicy porozumiewać się będą 11 językami.

Z informacji nadchodzących z świątecznego Sopotu można wnioskować, że Międzynarodowy Festiwal Piosenki nareszcie zdobył prawa obywatelskie miasta, które długo broniło się przed imprezą, niosącą mu światowy rozgłos.

M.G.



Fot. M. KOPEC

Po plenerze w Bieczu

W lipcu 19 uczniów Liceum Sztuk Plastycznych z Jarosławia, przebywało na plenerze w Bieczu. Plener prowadzili: Piotr Kołodziejczyk, Józef Steciński i Maria Kieferling. Prace uczniów wykonane na plenerze zosta-

na udostępnione publiczności na wystawie w Liceum Ogólnokształcącym w Bieczu w dniach od 17—21 września br., a następnie wystawa eksponowana będzie w Gorlicach od 1—15 października br. (g)

Moje związki z Rzeszowszczyzną

(Rozmowa z Julianem Kawalcem)

— Urodziłem się we wsi Wrzawy w powiecie tarnobrzskim — mówi pisarz. Ładunek wrażeń wyniesiony z dzieciństwa i młodości stał się decydujący dla mojej twórczości literackiej. Wieś, pejzaż, rzeka, cała ta okolica, leżąca w widłach Wisły i Sanu, narażona na wylewy wiosenne — to wszystko, co widziałem w dzieciństwie, stało się dla mnie bardzo istotne... Ale nie tylko krajobraz. Przede wszystkim ludzie. Bohaterowie moich książek mają swoje prototypy wśród mieszkańców tamtych stron. Nie znaczy to bynajmniej, żeby stanowili wierne ich odbitki. W jednym bohaterze skupiłem cechy pięciu, czy sześciu ludzi, stali się oni bardziej symbolami niż żywymi ludźmi...

Duży wpływ na kształtowanie się mojego świata wewnętrznego miała rodzina, matka, ojciec. Ojciec wszelkie wartości upatrywał w pracy na roli. Był to człowiek prosty, zakochany w polu: wszystko dla ziemi! Wyemigrował na kilka lat do Ameryki, aby zarobić trochę grosza i dokupić potem pola. Matka miała duże ambicje, chciała wychować i wykształcić dzieci, przez co przez całe życie walczyła z trudnościami. To, co jest najistotniejsze w mojej psychice, co stanowi materiał do moich książek — pochodzi od rodziców, z dzieciństwa, z kontaktów ze środowiskiem, w którym podówczas żyłem.

— Jacy pisarze mieli na Pana wpływ w latach młodości? — Inspiracja artystyczna pochodzi od pisarzy — samouków, moich krajan, których utwory często czytywałem w młodości, a przede wszystkim Ferdynanda Kurasia. Potem zafascynowała mnie proza innego krajana Jana Wikłora. Na mnie najbardziej decydujący wpływ wywarł jednak sam obraz społeczno-ekonomiczny wsi, sprawy związane z dolą chłopską. W dzieciństwie na

każdym kroku stykałem się z tymi sprawami. Obok dni słonecznych były dni trudne, kłęski żywiołowe, powódź... Trud ojca narzucał się świadomości dziecka. Mnie interesowało bardziej od literatury samo życie, świat, który oglądałem. Obrazy wyniesione z tamtych czasów są na



trwale przywiązane do mojej biografii.

— Czy z Pańskiej wsi dużo osób znalazło swoją życiową szansę i udało — mówiąc językiem Pańskich utworów — wyrwać się z oplotków? — W moich czasach start życiowy młodzieży wiejskiej był niezmiernie trudny. Pamiętam do dziś starania matki, która chciała, aby przynajmniej jeden syn zdobył wykształcenie. Młodzież dokonywała wtedy wielkich wysiłków, aby „wyrwać się z oplotków”. Tylko nieliczni zdołali pójść do szkoły. Nie orientuję się zbyt dobrze ilu było takich ludzi w mojej okolicy. Znam tylko przypadek z mojej rodziny. Mój wujek, Władysław Bobek ukończył studia slawistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zarabkował korepetycjami i uczył dzieci bogatych ludzi. Później Bobek habilitował się, wykładał jako docent na UJ, a następnie jako lektor języka polskiego na Uniwersytecie w Bratysławie. Napisał wiele prac z zakresu językoznawstwa i literatury słowackiej. W cza-

ku okupacji hitlerowskiej przebywał we Wrzawach. Niestety został aresztowany przez Niemców za działalność konspiracyjną i zginął w Oświęcimiu...

— Czy utrzymuje Pan kontakty z rodzinnym regionem i czy interesuje Pana jego życie? — Nie zrywam kontaktu z rodzinną wsią, nawet jeśli nie przyjeżdżam do niej przez dłuższy okres z braku czasu. Najsilniejszy i najserdeczniejszy jest przecież taki kontakt, gdy człowiek ma tę wieś mocno osadzoną w pamięci, gdy została wtopiona w jego świat wewnętrzny...

Żywo interesuję się rozwojem gospodarczym i kulturalnym ziemi rzeszowskiej. Ilekroć jestem tam, uderza mnie niebawem rozkwit tej ziemi, który wynika z nowych możliwości, prężnego kierownictwa politycznego, a nade wszystko z pracowitości tamtych ludzi, co jest podstawą rozwoju tej ziemi. Również widoczny jest jej rozwój kulturalny. Pojawilo się wiele nowych nazwisk w dziedzinie kultury. Można nawet mówić o pewnego ro-

dzaju „eksporcie” z Rzeszowszczyzny pisarzy tej miary, co Julian Przyboś, Bolesław Ożóg, Gerard Górnicki czy Jan Zych. Zjawiskiem ze wszech miar zasługującym na uwagę jest piarstwo Romana Turka, który jest kontynuatorem tradycji pisarzy ludowych, takich jak Słomka, Kuraś, czy Wiącek. Turek ten nurt rozwija twórczo i wynosi na wyższy poziom artystyczny.

— Pytanie stereotypowe, niemniej na pewno interesujące czytelników i to nie tylko „Widnokregu”: Pańskie plany na przyszłość? — Planów mam wiele, ale jeszcze więcej obaw, czy je zrealizuję. Chciałbym dać literacki wyraz tamtemu światu, z którego wyszedłem. To moje największe marzenie, ale bardzo trudne do spełnienia. Łatwo bowiem w takim wypadku popaść w schematyzm, pływaczność... Jeśli zaś chodzi o moje aktualne prace, to właśnie złożyłem do LSW tom pt. „Wezwanie” oraz do PIW-u drugi tom pt. „Szukam domu”.

Rozmawiał:

RYSZARD DZIESZYŃSKI

Owocne porozumienie

W kwietniu ubiegłego roku między wydziałami kultury prezydiów powiatowych rad narodowych w Jarosławiu, Lubaczowie — województwo rzeszowskie i w Biłgoraju oraz Tomaszowie — województwo lubelskie, podpisane zostało porozumienie o wzajemnej współpracy kulturalnej i wymianie doświadczeń.

Porozumienie objęło szeroki zakres działalności kulturalnej, m. in. wydziały kultury zobowiązały się wymieniać doświadczenia w organizacji życia społeczno-kulturalnego na wsi, w pracy społecznej rad klubów, w szkoleniu aktywu wiejskiego. Współpracą objęto również lokalne i regionalne stowarzyszenia kulturalne oraz muzea regionalne (wymiana materiałów dotyczących historii zabytków rozwoju walorów turystycznych, wymiana wystaw, prelegentów, publikacji i wydawnictw).

Dzisiaj z perspektywy czasu można stwierdzić, że porozumienie przyczyniło się do uaktywnienia działalności kulturalnej na różnych odcinkach, a szczególne uznanie zdobyły sobie atrakcyjne formy, jak wymiana zespołów artystycznych, wspólne organizowanie konkursów, festiwali, przeglądów artystycznych i wystaw. (g)

Jan Grygiel

Regionalne nowości wydawnicze

Uzbierało się ich ostatnio dość dużo i to wszystkim zbieraczom resowianów sprawa rzetelną satysfakcję. Nie tylko dlatego, że przybyło im do zbiorów kilka cennych książek, ale także i z tej przyczyny, iż świadczą one o wciąż wzrastającej dynamice ruchu wydawniczego w Rzeszowskiem. Zarówno w samym Rzeszowie, jak i w wielu miastach powiatowych coraz częściej ukazują się publikacje książkowe o wcale nie zaściankowym znaczeniu, mimo iż są poświęcone sprawom regionu. Jest to nie budzący wątpliwości dowód wzrastania ambicji naukowych i kulturalnych w województwie oraz rozwoju i krzepnięcia rzeszowskiego środowiska naukowego.

W tych wszystkich sprawach, w ich przebiegu na Rzeszowszczyźnie w ciągu 20 lat Polski Ludowej, doskonale orientują zainteresowanych prace bibliograficzne wydane przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Rzeszowie. Dwie z nich „Bibliografia Rzeszowszczyzny” (druki zwarte) opracowane przez Aleksandrę Misiową i „Rzeszowszczyzna w prozie XX-lecia” opracowana przez Paulinę Paślowską — ukazały się już dość dawno i nie zostały przyjęte przez odbiorców z taką uwagą, na jaką zasługiwały. Pozostały niezauważone, a szkoda. Stanowią one bardzo cenną pomoc dla badaczy spraw regionu, publicystów, działaczy kulturalnych i młodzieży studiującej. Pozwalają się zorientować, ile broszur i książek na tematy rzeszowskie ukazało się od 1944 do 1964 roku w naszym województwie, a ile w ogóle w kraju poza regionem.

Ostatnio ukazała się trzecia praca z tej serii wydana bardzo starannie przez WiMBP w Rzeszowie — „Bibliografia Rzeszowszczyzny 1944—1963” (artykuły z czasopism) opracowana również przez Paulinę Paślowską. Książka rejestruje wszystkie ważniejsze publikacje w prasie rzeszowskiej i w pismach ukazujących się w całej Polsce o Rzeszowszczyźnie. Bibliografia obrazuje całokształt życia regionu — historię, problemy polityczne, społeczne, ekonomiczne, przyrodnicze i kulturalne. Zespół współpracujący z redaktorką tomu nie miał łatwego zadania. Bibliografia tematyczna stwarza wprawdzie pewne ramy ułatwiające pracę bibliografowi, ale równocześnie przy temacie tak szeroko pojętym wymaga ciągle rozstrzygnięć, zwłaszcza przy tekstach poetycznych i literackich, co należy zarejestrować, a co nie. Często przeciętne są to teksty zakamuflowane, często nie występuje w nich żadna nazwa geograficzna, a wiadomo, że dotyczy Rzeszowszczyzny. W przedmowie czytamy:

„Dażąc w zasadzie do jak najpełniejszego obrazu piśmiennictwa związanego z regionem, starano się jednocześnie nie obciążać bibliografii materiałem mało wartościowym z punktu widzenia jej przyszłego użytkownika. Stąd duża selekcja zebranego materiału, ostrzejsza, zwłaszcza przy lokalnej prasie rzeszowskiej. W ramach tej selekcji zrezygnowano z materiałów, których treść bardzo szybko się deaktualizuje, z artykułów dyskusyjnych (jeżeli pozostawały w prasie

bez echa), z tych których tematem były sprawy osobiste poszczególnych osób, krótkich notatek, informacji itp.”

Założenia słuszne. Tylko jakim kryterium oceniać, czy artykuł jest mało wartościowy, szybko się deaktualizujący lub zbyt osobisty?

Autorzy bibliografii wyszli na ogół obronną ręką z tych trudności. „Bibliografia Rzeszowszczyzny” nie pomija chyba żadnej ważkiej i cennej publikacji prasowej o regionie, uwzględnia wszystkie, nawet efemerydalne czasopisma rzeszowskie (z wyjątkiem gazet powiatowych i jednodniówek okolicznościowych). Może jedynie zabrakło w niej kilku wierszy publikowanych zarówno w „Nowinach Tygodnia” jak i w „Widnokręgu”. Ale w tej dziedzinie właśnie zaszerogowanie tekstów do resowianów nastęczało najwięcej trudności. W sumie powstał istotnie pełny i wyczerpujący obraz twórczości publicystycznej, naukowej, popularnonaukowej i literackiej, rozsianej po czasopismach, na tematy rzeszowskie. Powstała książka niezbędna dla wszystkich, którzy chcą zdobyć jakąś wiedzę o regionie lub chcą pisać o jego sprawach.

Pod względem formalnym „Bibliografia Rzeszowszczyzny” wydana jest bez zarzutu, według wszystkich zasad edytorskich w zakresie bibliografii. Indeks czasopism, wykaz ważniejszych skrótów i symboli, indeks autorski i przedmiotowy, pozwalają się, szybko i łatwo posługiwać książką. Oczekujemy, że ambitny i pracowity zespół WiMBP w Rzeszowie zasłużony dla województwa dotychczasowymi wydawnictwami opracuje jeszcze bibliografię poezji i dramatu Rzeszowszczyzny.

Brak takiej publikacji odczuwają dotkliwie amatorskie zespoły artystyczne, młodzież szkolna i wszystkie placówki kulturalno oświatowe.

Nieco innego rodzaju wydarzeniem edytorskim na naszym terenie było ukazanie się w czerwcu br. „Księgi Pamiątkowej stulecia Gimnazjum i Liceum im. Króla Stanisława Leszczyńskiego w Jasle”. Wydał ją krakowski oddział PWN-u, opracował zespół redakcyjny złożony z nauczycieli tegoż gimnazjum pod przewodnictwem Kazimierza Zielińskiego. Aczkolwiek książka należy do wydawnictw typu jubileuszowego, nie można zaliczyć jej do druków okazjonalnych. Jest raczej dokumentem, cennym ze względu na swoje wartości historyczne i także literackie. Wydawać by się mogło, że to historia lokalna, nie wykraczająca za oplotki powiatu. Z Księgi wynika, iż dzieje jasielskiej szkoły są nierozdzielnie związane z dziejami polskiej nauki i kultury. Wielu jej wychowawców rozsianych po całym świecie zasłużyło się niepoślednio dla jej rozwoju. Świadczą o tym nazwiska ludzi, którzy w książce publikują swoje wspomnienia: Prof. prof. Stanisława Pigoń, prof. Hugona Steinhaus, Józefa Garbacika, Jana Wodyńskiego, Romana Fafary, luminarzy polskiej nauki i kultury. Są to ludzie, których nazwiska muszą się znaleźć w każdej encyklope-

di, w każdym słowniku biograficznym. Wszyscy oni piszą z wielkim sentymentem i szacunkiem o szkole, którą kończyli i o mieście, w którym się wychowywali. Większość ze wspomnień odznacza się niepoślednimi walorami literackimi, darem narracyjnym oraz barwnością i plastycznością języka (szkice Hugona Steinhaus, Stanisława Pigoń, Stanisława Kadyja czy Jana Wodyńskiego). Księga zawiera ponadto obszerny szkic z dziejów szkoły opracowany wnikliwie, w oparciu o materiały źródłowe, z których m. in. dowiadujemy się, iż wychowankowie Liceum rozproszyli się po całym świecie, re prezentując zawsze godnie swój naród. Generał Tadeusz Klimecki i pułkownik Andrzej Marecki zgineli razem z generałem Sikorskim w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem — absolwenci tej szkoły są profesorami uniwersytetu w Filadelfii i w Toronto, jeden z nich był archiwariuszem biblioteki watykańskiej, inny jest ambasadorem Polski w Nigerii i Togo. Dziesiątki ich ginęły w czasie wojny we Włoszech, Francji, w Afryce, na polach bitew w Związku Radzieckim, w kraju oraz w obozach — w Oświęcimiu, Gross-Rosen, Dachau, Murnau, Mauthausen.

Dobrze, że książka ukazała się w bardzo starannej edycji, oprawiona w płótno, na dobrym papierze. Zasluga to zarówno PWN-u, jak i Rzeszowskich Zakładów Graficznych, które „Księgę Pamiątkową” drukowały. Stanowi to godną wartości merytorycznej oprawę graficzną wydawnictwa.

Ludmila Pietruszkowa

Orchidea

Ten kwiat
ma w sobie coś z ptaka
zniechęconego w locie,
coś z tańczących płomieni
i coś z rozbrzygu fal
szturmujących lądy.

Przywodzi na myśl
dalekie niedoznane kraje
w łonie oceanów poczęte —
ogrzewa blat stołu
i moje dłonie rozpostarte
na czterech ścianach
mojego domu.

Zdzisław Ostrowski

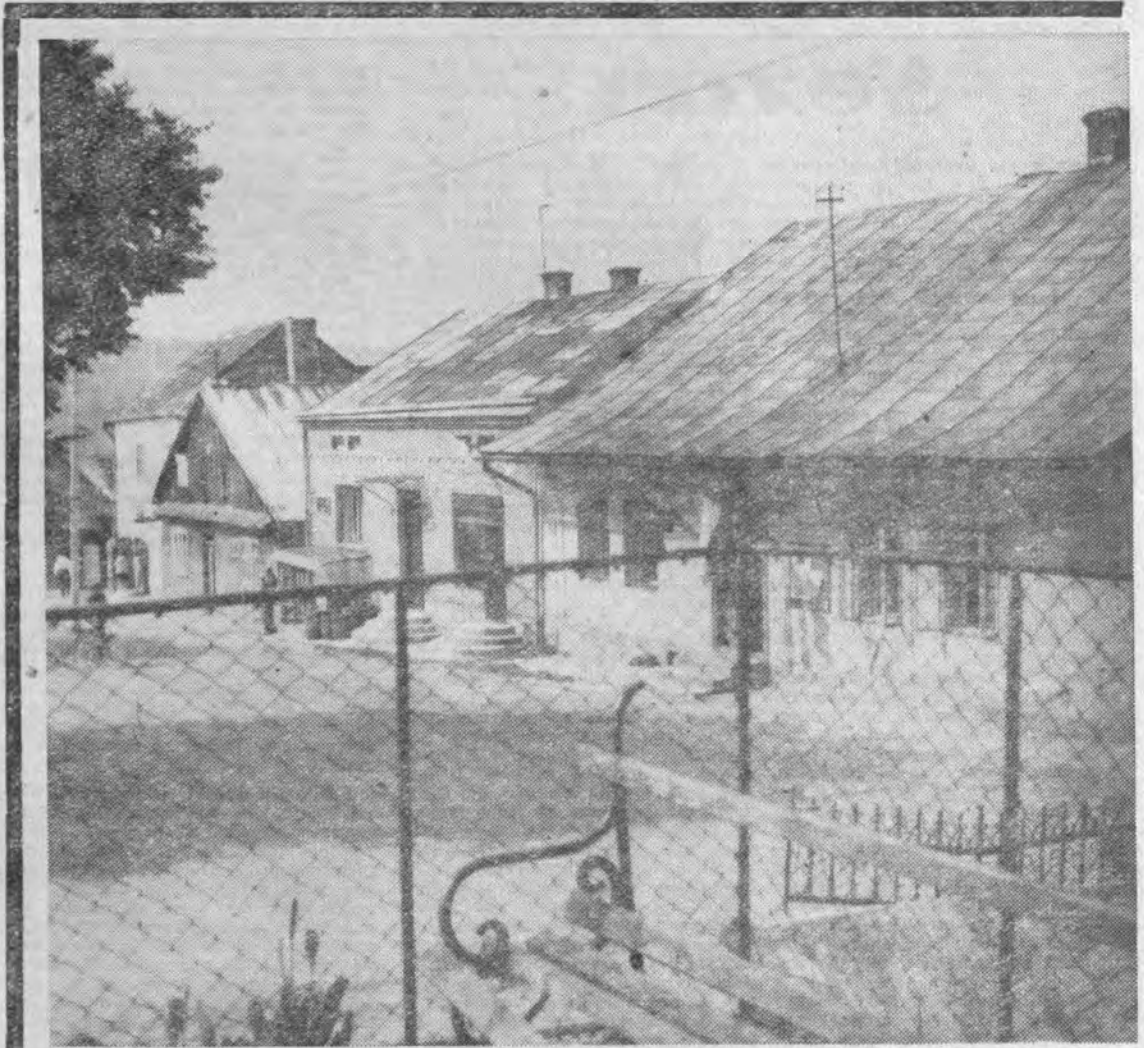
Budulec

Wklejam po włóknie
do zaprawy sięgam
nabieram kielnią masę chmur wapiennych
wnoszone mury cegieł zielnych stoją
zaokrąglone pniom obłędny liści
Ziemia tak lepka
powklejane trawy
oddają ręce
rozwidleniom wierzby
wejść więc w ziarno
pod korzenie sięgnę
Nad stosem nasion
cmy strącają światło.

Ludomir Mazela

Wrażenie

garne w ramiona chmury
— ich lot biały
przygarniam ludzi i rzeczy
kręgiem miłości żywym
opasuję drzewa
nachylam się ku kwiatom
zapatrzonym w urodę lata
czy tylko popiół sypie się
strumieniem
w urwiska nocy
gdy dzwonem uderza w krew
— serce szalejące



Miasteczko

Fot. M. KOPEC

Edward Wałowski

Lubaczowskie konfrontacje

Kłóregoś dnia przeglądając wycinki z dawnych gazet, natrafiłem na swój artykuł z „Dziennika Polskiego” napisany przed 20 laty pt. „Miasto, które oświetla... jedna żarówka”. W ostatnim czasie odwiedziłem kilka razy pow. lubaczowski, z tej okazji postanowiłem dokonać konfrontacji.

A było tutaj wówczas nie najlepiej, niech świadczy o tym cytowany poniżej wyjątek z artykułu:

„Powiat lubaczowski, położony we wschodniej części woj. rzeszowskiego, należał w pierwszym okresie po zakończeniu wojny — ze względu na działalność band — do terenów niebezpiecznych. Na skutek nieustannych napadów i ciągłych pożarów osiedli w okresie tym stan ludności zmniejszał się z nadzwyczajną szybkością. Z 90 tys. mieszkańców powiatu, pozostało niewiele ponad 30 tysięcy.

Nic więc dawnego, że w tych warunkach, stolica powiatu, Lubaczów, stał się głuchym miasteczkiem, jakby oderwanym od reszty świata, w którego progi rzadko kiedy zawitał gość z dalszych stron.

Radykalną zmianę w panujących tutaj stosunkach przyniósł dopiero rok 1947. Całkowite wyplenienie band, zwycięstwo praworządności nad rozbojem i bezprawiem, powróciło ludności dawno upragniony spokój i pewność jutra. Rozpoczęto prace niemal od podstaw. Odtremontowano kilkadziesiąt domów mieszkalnych, naprawiono szkoły, a nawet własnym kosztem uruchomiono gimnazjum i liceum ogólnokształcące. Jest to jedyna w tym powiatowym mieście średnia szkoła ogólnokształcąca, która, niestety, mimo starań ludności — do dnia dzisiejszego nie jest jeszcze ukończona.

Koszmarne lata wojny i działalności band dawno minęły. Z każdym rokiem rośnie liczba ludności w powiecie. Obecnie około 55 tysięcy mieszkańców. Odbudowano wsie Cewków, Dzieków, Dachnowo oraz powstały nowe, jak Kowalówka, Piastowo i Nowe Siolo. Aczkolwiek powiat lubaczowski poza nowymi kopalniami gazu i roszarnią nie posiada większych zakładów przemysłowych, ludność jego żyje dostatnio, czerpiąc wcale niemałe dochody z uprawy kontraktowanych roślin przemysłowych, a głównie tytoniu, konopi i rzepaku. Z tytułu upraw tych odmian w roku gospodarczym 1966 — 67 lubaczowska wieś otrzymała 135 mln złotych. Nie wiem, czy gospodarze powiatu słusznie



Lubaczów

Fot. M. KOPEC

się martwić, że na skutek zmiany struktury upraw spadła nieco, w obecnym okresie, produkcja zbożowa i hodowlana. Mnie się wydaje, że w zupełności rekompensuje te straty uprawa na lekkich glebach roślin przemysłowych, które dają duży dochód. Rolnicy rozbudowują swoje gospodarstwa i zakupują maszyny rolnicze. W tym rozwoju wsi dopomaga przeprowadzona w 80 proc. elektryfikacja powiatu. Z oświetleniem, którym martwił się przed dawnymi laty, obecnie nie ma tutaj kłopotu. A było gorzej niż źle nawet w samym Lubaczowie:

„Poważną bolączką Lubaczowa, na co on sam absolutnie poradzić nie może, jest także brak prądu wysokiego napięcia. Miasto posiada

wprowadzić małą elektrownię, która — jeżeli nie jest zepsuta — dostarcza światło od zmroku do 24 godziny. Ale na ulicach nawet i w tym czasie panuje zupełna ciemność, gdyż na cały Lubaczów świeci tylko jedna żarówka. Cała nadzieja mieszkańców spoczywa w Zjednoczeniu Energetycznym, któremu powiat zobowiązał się dostarczyć 3500 słupów, w zamian za co ZEOK obciąży pierwsze roboty elektryfikacyjne na terenie woj. rzeszowskiego rozpocząć w 1949 r. na linii Jarosław—Lubaczów”.

Dziś problem elektryfikacji Lubaczowa dawno rozwiązany. Na jego ulicach nie tylko świecą jarzeniówki, ale radykalnie zmieniło swój wygląd samo miasto. Przewodniczący Prezydium MRN tow. Franciszek Jezuit z dużą satysfakcją przedstawia obraz dzisiejszego Lubaczowa.

Mimo wciąż skąpych funduszy na inwestycje powstają nowe budowle. Wybudowano budynek Komitetu Powiatowego PZPR, Prezydium PRN, powstała szkoła podstawowa nr 2, rozbudowano liceum ogólnokształcące, wznosi się szkołę podstawową nr 1, z innych gmachów u-

tworzy wkrótce swe podwoje nowy hotel miejski 10-pokojowy o 20 łózkach. Doda miastu wiele orok i stanie się miejscem wypoczynku powstający 4-hektarowy park miejski. Miły wygląd nadają miastu wyasfaltowane ulice, nowe chodniki i odnowiona elewacja sklepów i kamieniczek.

W dobrze rozwijającym się gospodarstwie powiecie lubaczowskim rozkwita również życie kulturalne, z którego ogromnie jest dumny energiczny kierownik Pow. Wydziału Kultury, tow. Ryszard Moskal. W samym Lubaczowie przede wszystkim dobrze prosperuje Powiatowy Dom Kultury, przy którym zorganizowano wiele zespołów. Jest również czynna biblioteka i czytelnia. Odbijają się tutaj dość często wystawy obrazów, rzeźby i inne. W większości, zwiedzająca je młodzież miejscowych szkół poznaje dzieła sztuki i kształci swój smak artystyczny. Dzięki zabiegom i staraniom Włodzimierza Czerwickiego powstało tutaj muzeum regionalne.

Za przykładem stolicy powiatu poczyna także tętnić nowym pulsem życie kulturalne w terenie. W różnych miejscowościach działa 18 klubów PUPiK „Ruch”, 11 klubów GS „Młodego Rolnika”, 24 świetlice rad narodowych i 21 świetlic PGR.

W bieżącym roku uruchomiono nowe świetlice wiejskie w Pruniu, Kadubiskach, Soplach i Borchowie, następnie w trakcie organizacji znajduje się świetlica w Budomierzu i klubokawiarnia w Krowicy.

Niestety, większość świetlic i klubów otwarto w starych budynkach, które wymagają stałych remontów i napraw, chociaż na ten cel nie zawsze są pieniądze. Placówki te wymagają nowoczesnego wyposażenia w adaptory, telewizory itp. W tych warunkach korzystnym zjawiskiem byłoby, aby środki przeznaczone na wyposażenie świetlic czy klubów uzupełniono świadczeniami i czynami społecznymi oraz wysiłkiem organizacji społecznych.

Pow. Wydział Kultury w Lubaczowie stara się uatrakcyjnić pracę klubów przez wprowadzenie nowych form, w postaci organizowania zespołów artystycznych, recytatorskich, teatralnych, muzycznych i innych.

Powiat lubaczowski wstąpił dziś na drogę owocnej pracy i coraz lepszych osiągnięć.

Sezon

Krynica ma urok XIX-wiecznego kurortu. Do dziś szczyty się mianem perły uzdrowisk, choć konkurują z nią Polanica, Kudowa czy modny ostatnio Kolobrzeg. Sezon trwa cały rok, jak w żadnym z innych uzdrowisk.

Walory krynickich wód opisano wielokrotnie, każdy może sobie poczytać na kolorowych planszach rozwieszonych w pijalni, ile mineralów wlewa do żołądka wraz ze szklaneczką „Zubera”. Gorzej jest ze zwykłą wodą, która często nie dociera na wyższe piętra, bulgocze tylko w rurach, chrzypi i parska bez żadnego efektu. Mówi się tutaj o nowych ujęciach wody. Ekipy monterkie ciągle coś odkopują i zaprzębiają. Kryniczanie zapomnieli już jak wyglądała gładka chodnik, a suraczusze przybijający tu pałowanie wdychają z ulgą: „nic się nie zmieniło”. Wykopki w centrum uzdrowiska to swoista atrakcja. Kłok przez rów na stercie ziemi można już uznać za jedną z dyscyplin sportowo-leczniczych, dostępną bez trudu dla wszystkich w przewidzianym do basenu pływakiego i ośrodka kinetoterapii.

Deptak także doczekał się swojej dziury. Ogradzono ją płotkiem, przy sobie ciekawscy głów nie porzucali. Wykop ma związek z nową pijalnią, którą budują, bo stara choć zabytkowa i unikalna trzeszczy w szwach nie mogąc pomieścić gości. Otwarcie nowej przewidziane jest w r. 1970 z okazji Zjazdu FITEC. Na razie w godzinach ranno-południowych grzechoce na deptaku maszynaria budowlana. Puchacz, koparki, trafi się i pneumatyczny świder. Mechanizmy z pospół z orkiestrą smyczkową radiowęglowym głośnikiem dają koncert muzyki konkretnej, strawnej dla ludzi o silnych nerwach.

I owszem — borowinka, natryski, kąpiele galwaniczne wypędzają z udreżonych ciał wszelakie wapary. Po takich zabiegach każdy nocny Marek śpi jak zarnięty. W domu byle mucha zrywa nas na równe nogi, tutaj nie słyszemy nawet „Ostatniego walca” z Hawany, ani wielotonowych ciężarów PKS mknących od strony Muszyny z eksportowym towarem. Przysiadłaby się uzdrowisku obwodnica, omijająca miasto, uwalniająca je od hałasu i zaduchu spalin. Marzy o tym nie tylko dyrekcja, ale także ludzie z sanatoriów i domów wypoczynkowych stojących przy głównej arterii. Niestety, obwodnicy nie zaplanowano. Zamiast niej milionowym kosztem ścina się serpentyny na szosie.

Z Muszyny jadą w Polskę zagraniczne frukta, ale w samej Krynicy owoców nie za wiele. Sprawdza je się z Krakowskiego i Rzeszowskiego, choć to dalej i transport droższy. Na pryncypialnej ulicy sprzedają zieloninę w drewnianych skrzynkach, a stać tu powinny estetyczne kioski z owocami i kwiatami. Umiejętna ekspozycja tych towarów jest również elementem dekoracyjnym, burakami i marchwią lepiej handlować na targu. Z zaopatrzeniem w inne artykuły nie najgorzej. Obsługa w sklepach uprzejma, chociaż i tu ludzie stoja w kolejkach. Oczywiście po co innego niż w rodzinnym mieście. Dom Towarowy jest jeszcze jednym miejscem towarzyskich spotkań, kiedy nie dopisuje pogoda. Na ostatnim piętrze, wśród lodówek, odkurzaczy i innych akcesoriów gospodarstwa domowego urządzono wcale sympatyczną kawiarnię z niezłą kawą, sernikami i tortami. W krynickich kawiarniach zawsze pełno. Miejsce przy

stoliku trzeba upolować, a kiedy nawet będzie się miało to szczęście, zaraz się ktoś przysiadzie lub stanie nad głową.

Żle z pras! Przejrzeć gazety — sennie marzenie. W Klubie TPPR wiszą żalostne szczytki zdeaktualizowanych dzienników, czytelnicy KMPiK nie ma, ulubione pismo zdobywają siłą ducha, których stać na wyczekiwanie pod kioskami Ruchu. Prasę przywożą nieregularnie i w minimalnych ilościach. Kolorowe magazyny tylko spod łody dla wtajemniczonych. Kiosk na deptaku otrzymuje jeden egzemplarz „Nowin Rzeszowskich” i żeby było śmieszniej dostarcza go via Kraków. Co się stanie, kiedy nad dworcem PKP zbudują nowe sanatoria i domy czasowe? Będą sobie ludzie jak relikwie przekazywać skrawki drukowanego papieru. Transzitory długo jeszcze nie zastąpią nam słowa pisanego. Wydałabym zresztą zakaz używania tych odbiorników w miejscowościach klimatycznych. To, co na samotnym campingu stanowi łączność ze światem w uzdrowisku, jest zmorem dla szukających wytchnienia. Zradiofonizowani osobnicy liczyli się wzajemnie na plaży, w parku, na ulicy — czyje pudło gra głośnie. Pokonanie sąsiada pociągane jest widać za sukces towarzyski.

Biblioteki domów czasowych nie posiadają w nadmiarze nowości wydawniczych. Kuraczusze, który od lat trzech czeka w kolejce na „Kamienne Tablice Zukrowskiego, przejdzie zapewne do historii. Na razie, tak jak inni, zadowolona się czytaniem wyszarganych do ostateczności kryminałów. Krynica ma nowoczesne kino z niezłym repertuarem i galerią obrazów. Wiedzą o niej nieliczni. Galeria mieści się w małym domku przy ul. Bieruta. Ekspozowane tu dzieła nie należą do sławnych, ale w deszczowe popołudnie obejrzyć można. Znadzo-

ny kuraczusze wszystko przyjmie. Na tej zasadzie rozprowadza się bilety na przeróżne imprezy kulturalne. Zespoły regionalne, estradowe, sceny objazdowe prowincjonalnych teatrzyków raczą widzów najrozmaitszym repertuarem. Jak leci i co popadnie. Zupelnie nie rozumiem, dlaczego uzdrowisko o europejskiej sławie tak rzadko odwiedza teatr z prawdziwego zdarzenia. Czyżby z obawy o brak frekwencji?

Tak więc sobie narzekamy, krytykujemy to i owo dla zabicia czasu, a także z wrodzonej potrzeby głębszego. Tematem uniwersalnym jest: kto, kiedy, z kim, gdzie i dlaczego. Kuraczusze analizują przebyte choroby, zalecenia lekarza, wpływ klimatu, obmawiają damskie suknie i męskie wdzianka. Psioczenia słychać w Orbis. Często do kasy stoi fantazyjnie zakrecony kilometrowy ogon. Ludzie czekają i kłną. Nic dziwnego, jedyną czynną tu okienko sprzedaje bilety do wszystkich dostępnych w Polsce środkach lokomocji, informuje o połączeniach, cenach biletów i całym mnóstwie innych rzeczy, o które udający się w podróż zwykle pytają. W okienku można nabyć także bilety na imprezy. Pani ekspedientka klientów jest uprzejma i szybko pracuje. Swoje jednak odstąpić trzeba.

Pełni wrażeń jedziemy do domów. Są tacy, którzy tu nie powrócą, bo drogo, tłoczno i deszcz padał, ale inni... będą zabiegać o skierowania, zamawiać kwatery prywatne i w „Gromadzie”. Krynica ma swoich zaprzyśniętych bywalców zjeżdżających tu rokrocznie od wielu lat.

BOGUMILA GRZĘDZIELSKA

Pocztówki

Tak chyba rozpoczyna list do Pana z Iwonicza kolega z lamów „Dziennika Polskiego”, Bruno Mieczkowski, który co roku w sezonie zdobi swą sylwetką tutejszy pejzaż. Wiąza go ze zdrowym wspomnieniem z sielskiego dzieciństwa, gdyż tu pobierał porządkę szkolnej edukacji. W tym roku, jak dotąd, jeszcze się nie pojawił, mimo iż już kilka tysięcy kuraczuszy, wczasowiczów i turystów bezustannie drepcze tu i z powrotem po iwoniczym deptaku. Iwonicz przeżywa bowiem renesans popularności chyba w związku z modą na secesję, gdyż jest uroczą secesyjną i dziewiętnastowieczną. Miłośników tego kurortu z Warszawy, Śląska, i Krakowa nie odstrasza fetorek iwoniczkiego potoku, wycieczki po wodę z wiaderkami i remont łazienek zdrowych w samym środku sezonu. Przyciąga ich zbawienne działanie iwoniczkiej wody, znakomity klimat i snobizm. Ale jeżeli chciałby Pan uciec z Rzeszowa, by odpocząć oł znajomych twarzy i rozkoszować się uczuciem zagubienia w tłumie, ostrzegam, że w Iwoniezu to się Panu nie uda. Okazuje się, że większość mieszkańców Rzeszowa przesiedla się w czasie wakacji do iwoniczkiej wody i o żadnym incognito mowy być nie może. Cate ich oddziały

Aleksander Żyga

W domu pod dębami

Gorlickie odwiedził W. Pol po raz pierwszy podczas swych wędrowek po Galicji w roku 1835, gdy bawił u Tadeusza Skrzyńskiego w Zagórzach. Tu poznał Józefa Kremera, krakowskiego nauczyciela, który syna Skrzyńskiego uczył filozofii Hegla. Nie spodziewał się wtedy zapewne cieszyć się już w Galicji sławą „wieszczą” autor „Pieśni Janusza”, że za lat kilka stanie się sąsiadem Skrzyńskiego oraz częstym i ulubionym jego gościem w Zagórzach. Zanim jednak to nastąpiło upłynęło lat pięć, spędzonych przez poetę na dzierżawie hr. Ksawerego Krasickiego w Kalnicy w Sanockiem.

Kilkuletni pobyt w Gorlickiem w latach 1840—1846 zawdzięczał poeta wspomnianemu Tadeuszowi Skrzyńskiemu oraz Teofilowi Łętowskiemu, którzy w folwarku pod Gorlicami ofiarowali mu kawałek gruntu i zbudowali mu na nim dom. Pol nazywał go Mariampolem, bądź Maryipolem, jak często zwykł podpisywać wysyłane stąd listy. Ponieważ w otaczającym dom ogrodzie stały olbrzymie dęby, poeta ciągle mówił o nim jako domie pod dębami. Galicyjski pamiętnikarz i malarz, Ksawery Prek, bawiąc u swego kuzyna Skrzyńskiego w Zagórzach, nie omieszkał odwiedzić i poetę w Mariampolu. Pod datą 12 I 1840 r. zapisał: „Dużo czasu upłynęło, jak nie byłem u mego kuzyna Tadeusza Skrzyńskiego. Postanowiłem więc odwiedzić go w jego pięknej kompanii Zagórzan. Przepędziłem tam tydzień (...) O ówczesnym mi zaraz koło gościńca jest powabne mieszkanie Wincentego Pola, do założenia którego Skrzyński i Łętowski, dziedzic Mariampola, mu dopomogli. Dom ale bardzo schludny, ogródkiem otoczony, mieści tego tyle interesującego naszego poetę z jego rodziną. Często bardzo odwiedzałem go i tak był dobry, że mi pokazał wszystkie swoje manuskrypty. Pracował właśnie także nad mapą całej Polski, którą dla oświecenia młodzieży o swym własnym kraju wydać zamyslał”. Wtedy też Pol skreślił w Albumie K. Preka jedną ze swych autobiografii, stanowiącą źródło do swego życia, w której m. in. zaznaczył: „1840. Osiadam w Bieckiem we wsi Mariampolu za staraniem Tadeusza Skrzyńskiego i majora Teofila Łętowskiego w domu własnym”. Być może, że i wówczas powstał narysowany przez Preka wizerunek poetę.

Autor „Pieśni Janusza”, zostawszy niejako ziemianinem, cieszył się wielkim poważaniem wśród miejscowej szlachty. Dom jego pod dębami zawsze pełen był okolicznych gości oraz przybyszów, którzy przebywając w tych stronach i żądni zobaczenia nowego mieszkańca poetę nie przepuszczali okazji odwiedzenia go w Mariampolu, co nie zawsze sprzyjało jego intensywnej pracy literackiej i naukowej. Dowodzą tego liczne relacje, jakie zachowały się o poecie z czasów jego przebywania w domu pod dębami. „Patriarchalne życie rodzinne, liczne grono gości, przybywających z różnych stron Polski, aby poznać poetę i usłyszeć jakie ożywe słowo, rozprawy o naukach przyrodniczych, które gospodarza mocno zajmowały, uczyły familijne, pożegnania z odjeżdżającymi przyjaciółmi — oto była sielanka, której za widownię służył domek poetę” — odnotował Franciszek Wężyk w jednym z pism poznańskich, odwiedzając poetę w Mariampolu.

Odtąd życie W. Pola upłynęło między jego domem a rezydencją Skrzyńskich w Zagórzach, którzy go tu chętnie zapraszali i gościli. Ową tryb życia poetę w domu pod dębami odzwierciedlili: A. Edward Koźmian w swym liście, Włodzimierz Wolski w jednym z pism warszawskich oraz anonimowa autorka „podróży” drukowanej w lwowskim „Dzwonku” w roku 1850.

Spośród relacji o prowadzonym przez poetę trybie życia na tle pięknego pejzażu Mariampola, wymienić trzeba zapom-

niane wspomnienie Teofila Lenartowicza pochodzące z 1856 roku pt. „Wincentowi Polowi”:

*Gdyś zawędrował raz pierwszy do Ciebie,
Przed swym zacisznym domem stałeś w górach,
A miesiąc chłodny to leciał po niebie,
To krył się w chmurach.
Szarzały góry po dalekim kresie,
Swobodne krzyki leciały od wioski,
A mnie się zdawało, że to Czarnolesie*

I Kochanowski...

W Mariampolu, w toku intensywnej pracy, powstały oprócz wymienionej przez Lenartowicza „Pieśni o ziemi naszej”: „Historia szewca Jana Kilińskiego”, zniszczona potem „Szajne-katarynka” oraz szereg liryków tatrzańskich, napisanych w wyniku podróży geograficznych poetę przedsięwziętych prawie corocznie w Tatrach. Pol przecież był geografem, a jako geograf musiał wiele podróżować. Jego studium geograficznym i obserwacjom w terenie nie sprzyjał jednak zakaz władz austriackich nie pozwalający na swobodne poruszanie się po kraju. Na każdy wyjazd z Mariampola musiał mieć poezja zezwolenie władz austriackich. Ciężka bowiem na Polu inwigilacja, której w Galicji podlegali prawie wszyscy, którzy wzięli udział w powstaniu listopadowym. Dopiero ciągle naleganie i podania do władz austriackich we Lwowie i przekonywanie ich o swej „nieszkodliwości” oraz wstawiennictwo korespondującego wtedy z poetą Tadeusza Wasilewskiego we Lwowie, umożliwiło zdjęcie zeń inwigilacji i swobodne podejmowanie wycieczek krajoznawczych i geograficznych. Odbywał je przeważnie latem, zimą zaś opracowywał w Mariampolu zebrane materiały.

Wśród wielu gości, zwłaszcza tuż przed rokiem 1846, nie brakło u Pola w Mariampolu i emisariuszów emigracyjnych przygotowujących powstanie w Galicji z Edwardem Dembowskim na czele. Jednakże autor „Pieśni Janusza” daleki już był wtedy od swojej ideologii demokratycznej z czasów powstania. Pod wpływem obcowania z liberalizującymi aristokratami galicyjskimi oraz austriackiej inwigilacji, powoli zaczął przedzierzgać się w przeciwnika wszelkiej konspiracji. Już w okresie dzierżawy kalenickiej skłaniał się raczej do propagowania pracy organicznej. Nie przyjął oferowanego mu dowództwa okręgu konspiracyjnego, do przygotowań powstańczych odnosił się nieufnie, nie podzielał poglądów Dembowskiego, a Juliana Gosłara nazywał, według relacji Zygmunta Kaczkowskiego, komunistą. Nic też dziwnego, że zaczęto poetę omijać i podejrzewać nawet o przeciwdziałanie konspiracji powstańczej. Poczł się w Mariampolu osamotniony, a nawet w końcu... zagrożony. Obawiając się ruchów chłopskich, które mogłyby się zwrócić przeciwko niemu, kiedy starania o paszport do Wiednia się przedłużały, 18 lutego 1846 roku wraz z rodziną zapakowawszy swoje manuskrypty, opuścił Mariampol, udając się do Lwowa. W drodze podczas postoju u swego przyjaciela Tytusa Trzebielińskiego w Polance pod Krosnem został napadnięty przez rebeliantów, omal nie ponosząc śmierci. Papiery wszystkie mu zniszczono, poetę zaś odtawiono do więzienia najpierw w Jaśle, a potem we Lwowie.

Po wypuszczeniu z więzienia do Mariampola nie powrócił już nigdy na stałe, aczkolwiek odwiedzał go jeszcze niejednokrotnie. Ślady wspomnień o swym domu pod dębami znalazły się w wierszach powstałych w więzieniu oraz napisanych później po odwiedzinach swojego domu, jak: „W drodze do Mariampola” i „W Mariampolu”. W jednej ze strof powstałego w więzieniu wiersza pt. „Rok 1846” pisał o nim, swoje wspomnienia przepuszczając przez filtr niedawnych tragicznych przeżyć osobistych:

*Pusto tam stoi mój dom pod dębami —
I sam zostałem, i oni tam sami!
I w gniazdo moje niby piorun strzelił,
I od serdecznych piskląt mnie oddzielił.*

W „Mariampolu” dokonał poeta konfrontacji odwiedzonego domu pod dębami z dawnymi o nim wspomnieniami:

*Jak dawniej z dala wita dąb wyniosły,
I zapach znany z łąki pokoszonej,
I znane sercu te gorlickie dzwony,
A moje drzewa — ach, jakże porosły.*

Obóz naukowy nad Sanem

10 bm. rozpoczął się w Dubiecku nad Sanem obóz naukowy zorganizowany przez Dział Etnograficzny Muzeum Ziemi Przemyskiej. W obozie uczestniczą pracownicy naukowi Muzeum Ziemi Przemyskiej, Muzeum Budownictwa Ludowego, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Poznańskiego i studenci z Uniwersytetu Warszawskiego. Badania prowadzone pod kierunkiem mgr Stefana Lwa zmierzają do możliwie wszechstronnego opracowania różnych dziedzin kultury ludowej jak budownictwo, strój, plastyka, zwyczajne rodzinne i doroczne, folklor słowny i muzyczny. Penetracja objęto wsie: Nienadowa, Hucisko Nienadowskie, Sliwnicę, Drohobyczkę, Kosztową, Hucisko Jawornickie, Bachórzec i Wybrzeże. Współorganizatorem obozu jest Oddział Przemyski Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. (g)

„Opowieści biblijne” po bułgarsku

SOFIA (bk). W Sofii wydano „Opowieści biblijne” Zenona Kosińskiego w przekładzie znanego tłumacza polskiej literatury, Dymitra Ikonomowa. Książka wyszła w 10 tys. egzemplarzy.

Zagraniczne kontakty DESY

RZYM (jk). DESA nawiązała kontakt z galerią „San Giorgio” w Wenecji, która jesienią br. zamierza zorganizować wystawę kilku malarzy polskich. Wystawa ta będzie miała charakter handlowy.

Przeprowadzono także wstępne rozmowy z galerią „Arte viva” w Turynie. Galeria ta zorganizuje jesienią ekspozycję polskiego malarstwa współczesnego i grafiki, również połączoną ze sprzedażą.

BERLIN (jk). DESA rozpoczęła też współpracę z Biurem Handlu Zagranicznego Dzielami Sztuki w NRD — „DEMUSA”. Wstępne porozumienie dotyczy sprzedaży drobnych przedmiotów sztuki użytkowej na terenie NRD. DESA zapoczątkowała także współpracę z salonem sztuki „Greenborough” z Los Angeles. Galeria ta zakupiła w DESIE kilkanaście obrazów, jako serię próbną. W oparciu o jej wyniki galeria poczyni dalsze zakupy.

z wód

Musująco szanowny Panie Redaktorze

maszerują przez deptak, tańczą w Krakowiaku, piją „Józefa” w pijalni i usiłują podpalić Belkotkę. Nabawiłem się tu bólu karku od ukłonnów.

Zyjemy tu Panie Redaktorze bez wstrząsów i niespodzianek, spokojnie i zacisznie jak za czasów doktora Dietla. Nikt nam tu nie oferuje jakichś atrakcji, rozrywek, nikt nie usiłuje nam absorbować wolnego czasu. Wprawdzie niektórzy z rozpaczy, w chwilach dominującej nudy udają się do miejscowego kina, w którym (trzeba to przyznać) idą dość atrakcyjne filmy; inni wysłuchują codziennie z muszli koncertowej programu orkiestry „salonowej” z Jasła, która tu występuje przez cały sezon. Nie wiadomo dlaczego jasielski zespół nazwał się salonowym, skoro do naszych czasów zachowały się tylko salony obuwnicze, pralnicze i fryzjerskie. Orkiestra robi co może; jak na amatorów prezentuje dość przyzwoity poziom, ale jej repertuar mocno myszką trąci, jak zresztą wszystko w Iwoniczu. W dodatku fatalna akustyka muszli i placu zdrowego skutecznie zagłusza nie tylko wszystkie po-

tknięcia zespołu, ale także całą resztę. „Narkomani” książkowi korzystają ze skromnej osiedlowej biblioteki, a ci, którzy mają trochę charakteru w nogach wędrują po okolicznych łąkach i wzgórzach I to byłoby już wszystko, czym Iwonicz uszczęśliwia w zakresie dóbr duchowych i atrakcji rozrywkowych swych sezonowych mieszkańców. Nie zabiłkął się tu dotąd żaden zespół teatralny czy estradowy, nie zorganizowano żadnej interesującej imprezy na szerszą skalę. A szkoda. Nic dziwnego, że większość przybyszów żłopie z nudów od rana do wieczora wody mineralne, aż im bąbelki nosem wychodzą.

Ta secesyjna perla Podkarpacia ma, niestety, sporo skaz. Biada czasowiczom jeśli nie korzystają ze stołówek któregoś z pensjonatów. Będą na posiłki czekać z tęsknotą i wściekłością przez wiele długich kwadransów. Wprawdzie oddano tu przed sezonem do użytku dość duży obiekt gastronomiczny z restauracją, tzw. salą taneczną i hotelem, ale natychmiast zlikwidowano działającą poprzednio restaurację „Wczor-

sową”. Skutek jest taki, że znów w Iwoniczu istnieje tylko jedna restauracja z jedną salą konsumpcyjną zatłoczoną zawsze do granic pojemności. Naprzeciwko nowego lokalu znajduje się wprawdzie gotowy do użytku pawilon gastronomiczny, ale pełni tylko funkcję dekoracyjną. Podobno nie opta się go uruchomić — spółdzielnia zaopatrzenia i zbytu z Krosna obawia się deficytu. Takich handlowców, Panie Redaktorze, kapuł bym pół dnia w borowinie, a później kazał wytarzać w piórach, obwoził po kurortach i pokazywać za pieniądze. Zysk muirowany.

W całym Iwoniczu są tylko 2 kioski „Ruchu”, toteż kolejni przed nimi przypominają ogórkowego węża morskigo.

Wiadomo Panu z autopsji i własnej praktyki, że u nas w Polsce przed południem wszystkie kawiarnie są zatłoczone, bo wprawdzie cenią sobie pracę, ale przyjemności towarzyskie i drobny alkohol do pół czarnej w godzinach rannych stawiamy wyżej. W Iwoniczu postanowiono wykorzystać u nas te zle natogi i dlatego w jedynej kawiarni — „Krakowia-

ku” można napić się kawy, oranżady czy zjeść lody dopiero po południu. Wprawdzie kawa, czy lody przed południem nikogo tu nie odrywałyby od pracy, gdyż jak łatwo się domyślić, wszyscy tu przybywają w innych celach, ale kierownictwo zdrojku widocznie sądzi, że czego się Jaś nauczy na wczasach, to i w biurze będzie pamiętał.

Można by tak narzekać aż do końca urlopu z braku innego w Iwoniczu zajęcia. A to na sterty śmieci zdobiące kiosk pijalni, a to na chwasty bujnie obrastające spacerowe aleje czy wreszcie na niesłychanie brudny i wydalający nie tyle odurzające, co oburzające wonie potok płynący przez centrum zdrojku. Sądzę, że najwyższy czas to paskudztwo przykryć nim stanie się źródłem jakiejś epidemii.

Jak wiadomo, w Iwoniczu przebywał często znany kiedyś poeta, Władysław Belza. W okolicy dzisiejszego basenu kąpielowego wznosi się nawet stary kamienny obelisk z napisem informującym, iż twórca w tym miejscu zawsze szukał natchnienia. Dziś na pewno by go już tam nie znalazł, gdyż u stóp pomniczka naskładano jakichś żerdzi i drągów wyciętych w pobliskim lesie. A żeby Pan wiedział Redaktorze, ile śmieci pływa w Belkotce... Może pan wie komu przemówić do sumienia, by Iwonicz nie był pierłą w śmietniku?

Dyrekcji zdrojku, kuracjuszom, władzom powiatowym?...

To sprawa nie cierpiąca zwłoki, tym bardziej że zdroj się rozrasta, przeżywa okres bujnego rozwoju. Zbudowano ostatnio 2 duże sanatoria, wspomnianą już restaurację i hotel, a obecnie powstają jeszcze 2 zakładowe domy wypoczynkowe — jasielskiego Gamratu i Huty „Stalowa Wola”. Mówi się także o budowie nowej pijalni i zakładu przyrodoleczniczego. Czy więc nie warto bardziej dbać o dobre imię Iwonicza i usunąć drobne, lecz dokuczliwe zanieczyszczenia?...

I na końcu propozycja, którą może zechce Pan, Redaktorze poprzeć w swoim poczytnym piśmie. Zamiasz występów jednej, choćby i salonowej orkiestry z Leharem, Straussem i Kalmanem, warto urządzić na deptaku iwoniczickim coroczny konkurs amatorskich zespołów folklorystycznych w dziedzinie muzyki, pieśni i tańca. Może wojewódzki, a może nawet ogólnopolski... Trzeba by tylko było przebudować muszle koncertową, gdyż właściwie nie nadaje się ona obecnie do użytku. Czy Pan sobie wyobraża, jak atrakcyjny byłby wtedy sezon w Iwoniczu? I na brak rozrywek kulturalnych nie można by już było wtedy narzekać. Serdecznie pozdrawiam i wnoszę na Pańskie zdrowie kubek „Józefa”.

JOTGIEL

NASZ SIERŻANT

DAN
ŁYSAKOWSKI

Obiad był wspaniały. Poszła na niego cała szynka, reszta boczku i słonina, przywiezione jeszcze w marcu spod Olsztyna oraz bimber, co go chłopcy znaleźli w molarach. Bractwo żyjące do tej pory na cienkich zupkach, zmiatało co na drodze, aż serce rosło. No, niech wiedzą. Raz w roku jest i Maja. I to jeszcze jaki, po raz pierwszy całkowicie swobodny...

Samej uroczystości, to nawet nie widziałem. Komendant kazał wy stawić placówki przy wszystkich drogach wychodzących z miasteczka. Podobno było ładnie: zbiórka na rynku, wiec, sztandary, śpiewy... Szkoda... Teraz cała komenda zajada i popija. Na początku zastępca powiedział o święcie, wojnie, o sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Potem podniósł szklankę:

— Chłopaki, za demokracją! Tak się zaczęło... Bo potem, to już rażno nalewaliśmy co raz to nowe porcje. Zaraz też któryś coś wykrzykiwał i piliśmy. A było tych toastów, było... Za zwycięstwo, za sojuszników, na pohybel faszystom, za Ziemię Odzyskaną, za naszą komendę, potem znów za Warszawę. Wreszcie zerwał się ze swego miejsca sierżant Stefaniak.

— A teraz za pierwszą dywizję! — krzyknął.

Zrobił się straszny ruch. Chłopaki przepychali się, bo każdy chciał trącić swą szklankę ze szklanką sierżanta. Lubiliśmy go bardzo. Bo to i frontowiec, ranny, w wojsku od Lenina, stale opowiadał o swej dywizji. Szkolił nas ostro, ale chłop z niego sprawiedliwy...

Poszły teraz piosenki. Te przedwojenne wojskowe, potem partyzanckie, okupacyjne, ludowe. Dyrygował sam komendant, pierwszy śpiewak z nas wszystkich.

Gorąco i duszno... Czulem, że kosztuje lepi mi się do ciała. Wyszedłem przed budynek. Już zaczynało zmierzchać. Głęboko wciągnąłem chłodne powietrze. Wokół cisza. Wtedy jakbym po raz pierwszy zobaczył młodą zieleni na krzakach, osuszoną wiatrem ziemię, nieśmiała trawka... Wiosna...

Patrzysz? Obróciłem głowę. Na progu stał sierżant. Twarz czerwona, spocony, mundur rozpięty. O czy wesole. Idzie teraz do mnie:

— Patrzysz? — powtarza. — Ano tak, jakos nigdy czasu nie było. A tu już wiosna... Stał obok, odetchnął głęboko. Spojrzał na ukosa. Oczy, zawsze poważne i surowe, teraz jakby pokryte mgiełką rozmarzenia. Wdycha chciwie powietrze, uśmiechnięty, inny niż zwykłe.

— Wiosna... — powiedział cicho — nasza wiosna... Niedługo będzie pokój... Czujesz? Ziemia pachnie. Pójść teraz prosto przez pola, odetchnąć szeroko, za wszystkie czasy... — trącił mnie w bok — ty, bracie, nie wiesz co to wiosna... — Ja? Przecież stale ją widzę...

— Właśnie, stale... Dlatego nie wiesz. Ot, syberyjska wiosna, to mocna rzecz. Jak lody ruszają, to jakby artyleria. Huk, łomot... Potem woda rozleje jak morze. Brzegów nie widać. A tajga? Tego nie można opowiedzieć. Nasza wiosna cicha, cichuteńka, skromna... A ładna, że dech człowiekowi zapiera. Wiesz ty — obrócił się do mnie — ile ja czasu jej nie widziałem? Policz: od trzydziestego dziewiątego roku. Teraz mamy czterdzieści piątą. Dużo lat — pokiwiał głową — bywało, wyjdiesz w tajgę i patrzysz, jak się budzi życie, drzewa, kwiaty, zieleni kipi, a w oczach masz, ot, takie coś: strumyczek, wierzby, dachy słomiane, peczki na wiklinie i te male listeczki. Szedłbyś choćby piechotą... Stajesz wtedy pod cedrem i serce ci skacze. Nic nie mile... Do domu... A tu kilometry tysiące... Idzie człowiek lasem jak ślepy. Rąbie

drzewo niczym szatan, żeby zapomnieć, umęczyć się do ostatka, wieczorem lec na przycy i zaraz zasnąć... Żeby nie myśleć...

— Za to teraz — wtrąciłem — dobre czasy...

— Głupiś... Ot, nasza dywizja bierze Berlin. A ja? — zgrzytnął zębami.

— Nie lepiej tu niż na froncie?

— Nie. — Czemu? Mamy spokój, chłopcy dobrzy...

— Głupiś, już ci to mówię po raz drugi. Widzę po minie, że dalej nie rozumiesz. Myślisz na pewno: wypil sobie i odstawia

Wtedy sam nie wiesz, kiedy odpada to choróbko co bolało, dokuczało w tajdze. A było tego, było... Daj papierosa...

Usiadł na ławce, zapalił: — Siadaj — wskazał ręką — człowiek jak zapalił, to zaraz inaczej patrzy na świat. Choć po ruskiej machorce, to mi żaden papieros nie smakuje. Przywykłem do niej. Bo i było kiedy. Od zimy czterdziestego roku. Jak nas w wagony wsadzili i powieźli aż na Syberię. Co tak patrzysz? Czas był ostry, prawie wojenny. A ojciec osadnik. Wprawdzie nie z tych co dostali ziemię za wojnę w dwudziestym roku, ale osadnik. Bieda we wsi, ciasno. Ty pamiętasz? Nie? Aha, jesteś z miasta. Nie widziałeś naszego życia. Od miedzy do miedzy trudno się obrócić, a tu jeszcze dzieła. Roboty nigdzie nie ma, zboże urośnie albo nie urośnie, żyj jak potrafisz. Mały byłem, ale pamiętam. Do szkoły to tylko póki ciepło. Potem całą zimę przy piecu. Jak było czym zapalić, to dobrze, a jak nie — szron siedział w izbie. Długo by mówić... Ojciec grzbietu nie mógł wyprostować od roboty. Akurat zaczęli agitować: na wschodzie jest dużo dobrej ziemi. Tanie... Tylko je-

sem mówiło się źle. Ot, porządku takie czy siakie, u nas bywało inaczej, lepiej. Z tęsknoty człowiek zapominał o biedzie. Posłuchasz z boku: sami bogaci w tej Polsce byli. Gdzie niedza? A gdy wojna nastąpiła, ocy nam się otworzyli. Naród stanął twardo: pobijemy faszystów, choć oni na razie idą na Moskwę. Wszystko dla frontu. Jedzenie, ubranie, transport, produkcja. Przeciw wrogom... Zaczęli my ich szanować. A dla nas też przyszły lepsze czasy. Z tajgi my poszli do ludzi, do kolchozów. Długo by mówić... Przypomnij, kiedyś opowiem, jak baby i dzieci chleb dla frontu dawali, jak pracowali młody i stary. Twardy naród, wychowany w jedność. Na nas dobrze patrzyli, bo akurat powstawało wojsko Andersa. Ojciec się zgłosił, ale go odrzuciła komisja lekarska. Robota tak mu dojadła, że już nie miał zdrowia. Wiec my dalej w kolchozie. Przydzielili do brygady polowej. O Polsce mało wiemy. Tyle, że Niemiec strasznie naród niszczy. Ciężko na duszy. A tu jeszcze Anders poszedł do Persji. Jakby kto nam pałką dał w łeb. Ludziom wstyd spojrzeć w oczy. Baby dogadują: ot, Polaczki wolą leżeć do góry brzuchem niż wojować. Czekacie aż wam Niemca wypędzimy i damy gotową Polskę? Tam nasze chłopcy krwią się oblewają, butelkami niszczą tanki, was też bronią. Mówię ci, bracie, było ciężko. Pracowali my jak wściekli. Żeby wiedzieli, żeby inaczej patrzyli. Powoli przeszło. To nie my winni, wasi burżuje. Zróbcie z nimi porządek. Ba, ale jak?

...W kolchozie sekretarzem partyjnym był niejaki Kołoczek Leonid Pietrowicz. Żołnierz, wrócił z frontu bez ręki. On ci najwięcej gadał z nami, bronil przed językami babskimi. Jakbym go widział: nieduży, zapuścił brodkę, oczy w zmarszczkach, wyblakłe, ale żywe. Fajeczkę cmił i wszędzie go było pełno. Chodził statecznie, trochę zgarbiony. Mundur na nim stary, spłowiwały, ale czyste. Orderow miał dwa albo trzy. Zawsze je nosił, w swiatek i piątek. On nam mówił:

— Niczewo, bratoy, jeszcze się doczekacie Polski. Teraz pracujecie. To też dla frontu, dla waszych w niemieckiej niewoli. A babom się nie dziwcie. Ile już wieści o śmierci męża czy synów dostaje? Ot, choćby z waszej brygady: stara Woronowa, Bykowa, Fruzia, Zeleznowa... Żal ludzi...

...Żal ludzi! Tak, ciężko patrzeć. Haruje kobieta od świtu do nocy dla dzieci, nie ma ani chwili czasu, listonosza wiecznie wygląda. Nawet jak list otrzyma, to płacze. Bo on pisał tydzień czy dwa temu wstecz, a co z nim w tej minucie? Ech, bracie, żołnierski los nie lekki, ale babski na tyłach chyba gorszy...

...Wiosna nastąpiła. Kto żyw, w polu. Siali my, sadzili. Traktory szły przy lampach. No i woły, konie, co było. Zwali się potem człek na poślanie, nie można rozprostować pałców ni grzbietu. Parę godzin snu i znów do roboty. Akurat tak mocuję się z wołami, zaprzęgam, gdy patrzę: leci ciężarówka do kolchozu. Grat stary, zawsze chodzi, jakby ją ciągnęły woły a nie motor. Dzisiaj leci jak ptak. Patrzę więc i myślę: co to jest? Nadjechał, stanął od razu, i już skacze z kabiny Kołoczek. Jakby on, ale zmieniony, że trudno poznać. Czapkę gdzieś zapodział, czerwony, żwawy, niczym młodzik. W garści gazeta. Macha nią i woła: „No Paliaki, dla was też święto przyszło...”

...Teraz w maju będzie dwa lata, a pamiętam wszystko dokładnie. Tyle przecież było różnych zdarzeń, wypadków. Wtedy jednak nasza mnie ostrość w oczach: szopa, taka wiatrem podszycy, ze słomianym dachem, przed nią budka z kuchnią, dynek idzie z komina. Kucharka gruba, wiecznie z zatawionymi oczami Fienka Głubcowa ujęła się pod bok i patrzy. Watówka rozpięta, pod nią jakiś zasmarowany kubrak, spodnica kiedyś była w kwiatki, teraz spłowiwała i pojąta. Ja koło wołów. Trawka młoda, zieleniutka. Pole i pole, sfaldowane, długie. Aż do lasu co go widać w dali. Pochmurno, dzień wypadł szary. Ciężarówka krzywa, obdrapana. I brodaty Kołoczek idzie wielkimi krokami, gazeta macha i krzyczy: „na waszej ulicy Paliaki, dziś święto...”

...Podszedł, objął za ramiona, ucałował. Wyszukując, po-

wiada, Kazimir Zygmuntowicz... Oczosławem uczcił, choć na co dzień, to było proste: Kaziuk... Macie — powiada — swoją dywizję, pójdzicie do walki z faszystowskimi zaborcami. Robotni wy — gada dalej — dla kolchozu bardzo potrzebni, ale nie będziemy zatrzymywać. Prawo wasze święte iść z bronią na front, odzyskać Polskę, matkę swoją, ojczyznę uwolnić... Pięknie to powiedział, aż mi łzy w oczach stanęły...

...Jasne, bracie, poszliśmy wszyscy, kto tylko miał jakie takie zdrowie. Długo by mówić, opowiadać. Jak jechaliśmy, jak nas przyjęto, dano do pułków, szkolono. Potem pierwsza bitwa pod Lenino i moja pierwsza rana. Długa to droga. Przypomnij, kiedy wieczorem, opowiem dokładnie tobie i chłopakom. Ku pamięci i nauce, żebyście wiedzieli, skąd się wzięło to nasze wojsko. Dziś nie. Pójde odetchnąć tym powietrzem. Czego się śmiejesz? Już wypatrzyłeś, że chodzą do Zenki Wroniaka? Tak, prawda, nie będę się wypierał. To dobra dziewczyna. Może nawet tu zostanie po wojnie. Ładne strony... Jak Bug przeszedłmy, to mówię ci, każdy udawał zucha, ale ocy od kolegów odwracał. Bractwo twarde, przeszło ogień i wodę, kilometrów nie zliczysz, a jednak co swoja ziemia to swoja. Idziemy szosą, wzdłuż niej wioska biedniutka pod słomą, chatki krzywe w drzewach. Niby nic, a każdy patrzy i patrzy. Dzieciaki przy drodze, porcieta byle jakie, włoski rozczochrane, starsi przy płotach, naród robotczy, spracowany, umęczony ciężkim życiem. Przed wieczorem nasza mgiełka leciusiańska, szosa długa, na niej kolumna. Cisza taka jakby we śnie jakimś. I pierwszy głos: „O Jezu, toć to nasi!”

...Nie: „zdrastwujcie sojuszniki, młodey Paliaki”, a właśnie tak prosto: nasi! A tu wojsko idzie i idzie, rozkazy ostre, trzeba nam napród do Wisły. Wiec wypijesz kubek wody, jabłko jedno czy drugie na drogę złapiesz i dalej. I ten obraz widzę do dziś: żołnierz zakurzony, w spłowiawym mundurze, te dzieci przy drodze z kubkami wody w garści. Biedne to, ubogie, przyjąć nie ma czym, a tobie serce skacze, mać się nie urwie. Wiesz teraz, żeś nie na próżno szedł pod Lenino na niemieckie transeje. Przez nie była droga nad Bug, tylko przez nie. Ot, rozgadałem się, trudno skończyć. Już ciemno... Ale tyle się widziało, przeżyto. A tam nasza dywizja Berlin bierze. Lada dzień będzie koniec. Czas już, czas... Ludzie pragną pokoju, każdy chce sobie jakoś życie urządzić. No, wracaj na salę, a ja pójde... Piękny wieczór, aż grzech go marnować...

— Tak bez bronii? — Po co mi broń? — zaśmiał się sierżant — toć jestem między swoimi...

— A jak się napatoczy jakiś drań z tych, co to chodzą w okolicy? — Bzdura... Kto by tam podniósł rękę na frontowego żołnierza. A tych szczeniaków, to lekceważę... Rozumiesz?

Obrócił mundur, założył czapkę. Szedł prosto jak świeca, młody, gibki. Patrzyłem z nim, dopóki nie zniknął za brem.

W godzinę później, w gwar zabawy wpadł ostry okrzyk: — Alarm! Alarm!

Od mostu niesły się pospieszne serie automatów. Porucznik krzyczał:

— Trzecia drużyna do mnie! Pobiegli grzechocząc nabojami w ładownicach. My rozstawialiśmy się naokoło budynku. Noc czarna, lepka, pachnąca polami i łąką. Żaby rechoczą, wyje pies... I wreszcie kroki na bruku...

— Swoil Nie strzelać... Ciemna bryła postaci, coś tam mają między sobą, coś długiego, bezwładnego.

— Już po wszystkim — chrypi jakiś głos.

— Uciekli? — Nie wszyscy, mamy dwóch. — Co za jedni?

— Obejrzymy przy świetle... Byli z bronią... Od nas tylko dosięgli sierzanta...

— Jak to? — nie poznałem własnego głosu. Zmieniony, zachrypnięty.

— Zabyty?... A drugi głos dodał: — Z dziewczyną szedł. Mineł placówkę na moście i poszł dalej. Żeby nie on, to by uderzyli na miasteczko. Nie dał się widać żywego. To i musieli strzelać, zdradzili się. Został na miejscu...



Rys. J. SIENKIEWICZ

bohatera. Nie, bracie... Życie każdy chce. Przed kula strach, pewnie. Tu spokój. Ot, chłopaków szkolic, werbować ochotników. Robota dobra. Na froncie krew, bomby, trupy. Dziś on, jutro może ja? A może zaraz? Niby każdy powinien zazdrościć mi życia na tyłach. Ale dywizja? I Berlin. Nie rozumiesz, bo wojska widział tylko tyle co tu, w kominie, gdzie uzupełnień. Nasza dywizja pierwsza w całym wojsku. Niczym gwardyjska. I ja w niej od samego początku. Jakby dom, ba, więcej niż dom. Mundur. Rozumiesz to? Widziałem jak was ubierali. Widziałem ży w oczach. Nie, nie czerwienię się. Stefaniak, bracie, wie co to znaczy ubrać mundur. Choćby dał wielki majątek, to tak nie cieszy człowieka. W Sielcach był taki napis: witajcie żołnierze — wczorajsi tułacz. Chłpie, stałem i czytałem raz, drugi, trzeci... Aż nagle jakbym oczy otworzył. Żołnierz... Będę polskim żołnierzem. Tak, możesz się uśmiechać. Faktycznie wypitem trochę, ale to nie wódka. Jakby to było wczoraj: bractwo my różne, starzy, młodzi, w watówkach, sparciałe łachy, buty sterane, łapcie... Brody, wasy, włosy brudne, zmierzwiłone. Opowiedziałby jeden z drugim swój los — na dwie książki wystarczy. A tu mówią: polscy żołnierze. A Polska gdzie? Teraz ona tu, gdzie i my, w Sielcach. Z nami pójdzie na zachód. Zależy tylko od nas. Posłuchasz, bracie i zaraz rękę wyciągniesz: dajcie ino karabin, już my ja nawet diabłu z gardła wyrwiemy. A tu druga nauka: karabin znaczy się, radziecki. Sojusznik, brat ci go daje. I mówię: masz, wydzieraj wrogom swoją Polskę. Co by to było, zaczynamy inaczej. O, mówią o ziemi, o fabrykach. Prosto, otwarcie. Jak to będzie.

chać i bogacić się. Oj, było w domu, było. Ojciec chciał jechać, matka płakała, żeby nie. Przegadali sporo nocy. Wreszcie pojechaliśmy. Obiecanek było dużo, a w rzeczywistości tylko gorycz. Sąsiedzi patrzyli wielkim, gadają obcą mową, roboty jeszcze więcej, bo przyszło zaczynać z niczego, spłacać długi, harować. A tu policja stale chodzi: Wy jesteście Polacy, musicie pomóc trzymać za pysk tych odmienców. A oni też biedaki. Całkiem trudno to wszystko pojąć. Niby krewni a nienawisć rosta. Bywało, że podpalili osadnika. Wtedy inni szli do Strzelca czy Związku Rezerwistów. Żeby pomagać, brać za mordę. To tamci znów gorzej się zapiekają. Wy tu, powiadają, wydzieracie nam ziemię, robicie krzywdę. Węzełek taki, że nie rozplączesz. Nie ma końca...

...Potem wybuchła wojna... Powieźli nas na północ...

...Tak my jechali pociągami, a potem saniami. Chyba w sam środek tajgi. Tam pokazali budynek, dali narzędzia i przydzielili normę w lesie. Rąb, to będziecie jadł. Jednak: Polak, Ruski, czy inny. Jedno prawo wszystkim. To my rabali. Wiosną drzewo szło z wodą. Zimą składaliśmy na stosy. Tajga wokół, końca nie uświadczy. Polska daleko... Kiedy się wróci do domu? Bywało — pomyślisz i serce ci staje... Choć na chwilkę do swoich... Żeby tylko rzucić okiem. Wtedy się bierziesz za robotę, bo kto się podda, rozmarzy, to i nadzieje gubi. Stwardniał tam człowiek, jak tajgowy buk. Pracuje, spi, gada tylko o robocie. Tłumi w sobie inne myśli... Trzeba czekać... Uderzył Niemiec na Związek Radziecki. Wiesz, prawde ci mówię, nie dodają ani słowa. Czasem my różnie o nich gadali, porównywali. Cza-

Franciszek Kotula

Jeszcze „o urodzaju...“

Nie rozstrzygnięto!

Nie jest tajemnicą, że obecne województwo rzeszowskie — historycznie bardzo młode — składa się z wielu części pradawnych organizmów nie tylko administracyjnych, ale nawet państwowych. Tedy: zachodnia część naszego województwa — biorąc pod uwagę zjednoczenie Polski po dzielnicowym podziale — to część historycznego województwa krakowskiego, część środkowa wchodziła kiedyś w skład wojew. sandomierskiego, a które było przecież udziałem księstwa. Wiadomo, że Kazimierz Wielki w r. 1340, na podstawie ówczesnego prawa spadkowego, przyłączył do swego państwa udzielne księstwo włodzimiersko-halińskie. Powstałe z niego województwo ruskie czy lwowskie podzielone zostało na cztery ziemie: lwowską, samborską, przemyską i sanocką. Tu należy dodać, że ziemia przemyska stanowiła kiedyś również udzielne księstwo. Znaczna część ziem: sanockiej i przemyskiej należy dziś do naszego województwa. Wreszcie północno-wschodni skrawek — dzisiejsze Lubaczowskie — jest częścią historycznego wojew. bełzkiego.

Na określonym wyżej terenie, wśród różnego rodzaju osiedli są stare i słynne miasta, nawet królewskie: Przemysł, Sanok, Biecz, Pilzno — siedziby kasztelanów, sądów grodzkich czy ziemskich. Jaką drogą czasu pozycję miał chociażby Biecz, świadczy, że Łokietek planował przeniesienie tutaj stolicy Polski, gdyby nie udało się opanować buntu mieszczan krakowskich. W Przemysłu we wczesnym średniowieczu był potężny zamek murowany i aż dwie rotundy. Jarosław zaś, słynny był na kilku kontynentach. Przeworsk miał potężne fortyfikacje.

Spojrząwszy w oczy prawdziwej historycznej, stanąwszy na krawędzi między wiekami XVI i XVII, w jakim stosunku do tamtych był Rzeszów?

Wiemy dalej, że faktycznie aż do XIX w. w życiu publicznym bardzo ważną rolę odgrywały herby, godła, gmerki, znaki. Miały tedy swoje herby — niezależnie od państwowego godła — województwa, ziemi, miasta i miasteczka, szlachta. Mieszczanie pieczętowali się swymi gmerkami, własne znaki mieli niektórzy chłopcy, tacy jak bartnicy, hodowcy itp. Były to znaki rozpoznawcze, własnościowe, przynależnościowe. Ale, jak dalej wiemy, dziś straciły swoje praktyczne znaczenie, pozostawiały przeważnie tylko historyczne i uczuciowe.

Jeśli dawniejszym jednostkowym wsłom zabroniono pieczętowania się ich dawnymi pieczęciami z indywidualnymi znakami dopiero w okresie międzywojennym — województwa i starostwa od początku odzyskania niepodległości używały pieczęci z godłem państwowym — to gdzieś ok. r. 1936 (może i wcześniej) władza państwowa poleciła wszystkim miastom, jako jednostkom samorządowym ustalenie swych herbów, aby nie było żadnych dowolności. W związku z tym w Warszawie powołano coś w rodzaju komisji historycznej, do której poszczególne miasta zobowiązane były przedłożyć historyczne uzasadnienia swych herbów. Naturalnie dotyczyło to i Rzeszowa.

„Magistrat” po poradach zlecił dwóm wybitnym heraldykom, Emilowi Bieleckiemu i Adamowi Kamińskiemu ustalenie i uduktowanie herbu miasta Rzeszowa oraz kolorów tegoż herbu, aby ich wywoły przedłożyć w/w komisji do zatwierdzenia. Po odpowiednich badaniach w/w heraldycy przedłożyli swoje opracowania. Nie będę powtarzał ich wywodów, ciekawych odsyłam

do artykułów: A. Kamiński — O herbie m. Rzeszowa, „Zew Rzeszowa” nr 1/1937 i E. Bielecki — W sprawie herbu m. Rzeszowa, „Zew Rzeszowa” nr 3/1937. I oto okazało się, że opinie obu badaczy różniły się nieco. Obaj przyjmują za godło „Krzyż Kawalerski” w kolorze srebrnym (białym) Bielecki dawał kolor tła niebieski, zaś Kamiński czerwony. Obaj naturalnie uzasadniali swoje stanowiska. Do ostatecznego rozstrzygnięcia nie doszło z powodu wybuchu wojny.

W r. 1944 powstało wojew. rzeszowskie, z siedzibą w Rzeszowie. Samo miasto od samego początku odzyskania wolności nadal używało dawnego herbu, więc białego krzyża na niebieskim tle, barwy miasta nadal pozostały białe i niebieskie. Czyli po staremu.

O ile dobrze pamiętam — a byłem aktywnym świadkiem wydarzeń na terenie miasta od dnia wyzwolenia — bardzo rychno po utworzeniu województwa rzeszowskiego wyplął problem, jakiego herbu ma ono używać, jakich barw. Biorąc rzecz teoretycznie, ktoś powinien się zastanowić nad tym problemem. Może powinno zostać wyłonione jakieś kompetentne ciało czy organ do jego rozwiązania. Dalej teoretyzując, owo ciało powinno dokonać wyboru, wydać decyzję, przyjąć np. za herb wojew. rzesz. dawny herb ziemi przemyskiej, jako że duża jej część weszła w

skład nowego organizmu, a i Rzeszów od poł. XIV w. do tejże ziemi należał. Mogło podjąć inną decyzję, wskazać na jeszcze inny, dostojny i historyczny herb. Ale kto wówczas zastanawiał się nad takimi „drobnostkami”; ważniejsze były inne sprawy.

Pamiętam, miała być jakaś wystawa ogólnopolska, każde z województw miało mieć swój symbol. Na poprzedzającej naradzie ten problem stanął w całej złożoności. Rozstrzygnięto go szybko: herb m. Rzeszowa ma być również herbem województwa i koniec.

Problem ten wyłania się dziś z całą ostrością. Najgorzej to, że w tej dziedzinie panuje wielka dowolność; herby miasta i województwa przybierają różne postaci w zależności od widzimisię projektanta. Po drugie, używanie herbu Rzeszowa przez województwo jest rzeczą nieformalną. A przecież nie przedstawia większej trudności sprawę tę unormować i skodyfikować. Wprowadzić jakiś porządek.

Jaki nasuwa się wniosek. Tak władze wojewódzkie, jak i miejskie, powinny wyłonić jakiś organ; mogłyby to być delegacje obu Komisji Kultury. Te zasięgnąwszy opinii fachowców przedłożyłyby odpowiednim organom ostateczny wniosek do zatwierdzenia. Wówczas stałyby się znakami w pełni urzędowymi.



Nad jeziorem

CAF



Janusz Przymanowski: CZTEREJ PANCERNI I PIES. Iskry, s. 272, cena zł 9.

W serii kieszonkowej statystyczne, szóstą z kolei wydanie znanej z małego i dużego ekranu powieści o Janku, Marusi, Gustliku, Konradzie, Grigoriju, psie Szariku i czołgu „Rudym”. O przyjaźni i bohaterstwie.

Bolesław Prus: LALKA. T. I/III, cena całości zł 30. Bibl. Jaskółki. Wyd. 24.

W serii kieszonkowej kolejne wydanie filmowanej aktualnie powieści pisarza żyjącego na przełomie XIX i XX wieku. Lektura szkolna.

William Shakespeare: HAMLET, książkę duński, Spolszczył J. S. Sito. PIW, s. 232, cena zł 25.

Znane dobrze i nazwisko pisarza, i tytuł dzieła. Staranne wydanie. Lektura szkolna.

Feliks Derecki, Mariusz Kwiatkowski: WITAJCIE W DZYNIZYLA-KACH. Wyd. Lubelskie, s. 200, cena zł 15.

Rzadko u nas spotykany gatunek literacki. Powieść satyryczna. Uprawiała ją Magdalena Samozwaniec, a i M. Kwiatkowski jedną taką popełnił. Omawiana, dzieło spółki autorów dwójki satyryków, przenosi nas do wioski Dzyndzylaki, „spręparowanej” na potrzeby turystów na wieś z epoki kamiennej. Ale mentalność współczesna. Co z tego wynika? Ano poczytajmy. A czyta się łatwo.

Eugeniusz Wasilewski: POWROTNE SZLAKI. Gawędy morskie. Wyd. Poznańskie, s. 192, cena zł 14.

Nie możemy ostatnio narzekać na brak pamiętników, w tym wspomnień marynarzy.

Autor, kapitan żegluga wielkiej pływ do tej pory. A robi to już od czterdziestu przeszło lat. I tyleż gawęd zawiera prezentowany tom. Talent gawędziarski autora upoważnia do polecenia tej książki.

Czesław Czerniawski: ZANIM WSTANIE SWIT. Wyd. Poznańskie, s. 176, cena zł 12.

Autora znamy z powieści „Jak krótko trwa noc”, której akcja rozgrywa się, m. in. na terenie naszego województwa. Omawiana pozycja przenosi nas na Pomorze Zachodnie, nad Zalew Szczeciński, w środowisko rybaków. Tuż po wojnie. Wielu ludzi się ukrywa. Wiele szumowin

stara się zmylić ślady młodej jeszcze władzy ludowej. Akcja prawie sensacyjna.

Tage Voss: MORZE DOKOŁA NASZEGO DOMU. Przel. R. Heltberg. Wyd. Morskie, s. 218, cena zł 15.

Duński lekarz wiele lat praktykował na wyspie w pobliżu Bornholmu. Powieściopisarz i eseista. Szczególnie interesujące są jego eseje. 20 z nich przynosi omawiana książka. Jak zwykle w esejach, stosunek do wielu otaczających autora spraw. Głównym tematem jest jednak morze i ludzie z niego i na nim żyjący.

Bohumil Hrabal: BAR „ŚWIAT”. Przel. C. Dmochowska i inni. Iskry, s. 324, cena zł 18.

Przed paroma miesiącami wielką popularnością cieszyła się powieść Hrabala „Lekcje tańca dla starszych i zaawansowanych”. Dziś „Iskry” prezentują nową książkę tego czeskiego pisarza. Tom opowiadań wybranych z kilku książek wydanych w latach 1963–1966. Autor ma bardzo bujny życiorys. Był urzędnikiem, zawodowcą stacji, komiwojażerem, robotnikiem kolejowym i w hucie szkła, pomocnikiem technicznym w teatrze. Dobra proza.

Jifi Mucha: JAKĄ BĘDZIE MIAŁ TWARZ. Przel. E. Witwicka. PIW, s. 320, cena zł 20.

Jeden z wybitniejszych pisarzy czeskich (Ur. 1915 r.). Dziennikarz na początku lat pięćdziesiątych wy-

Nauka w tezach zjazdowych

(Ciąg dalszy ze str. 1)

drugiej jednak strony młode ośrodki naukowe powinny prężniej, dynamiczniej prezentować swój dorobek, mocniej wiązać się z potrzebami regionu. I to powinno też być tematem dyskusji przedzjazdowej.

Jak już mówiłem, tezy podkreślają konieczność zmian strukturalnych w organizacji polskiej nauki. Pewien francuski socjolog, notabene pracownikowej orientacji, miał powiedzieć, że gdyby ktoś chciał zniszczyć uniwersytety, to wystarczy pozostawić im dotychczasową strukturę. Mówił o tym minister szkolnictwa wyższego, prof. dr Henryk Jabłoński, nie zgadzając się na „uniwersytecką” strukturę jednej z niedawno powstałych wyższych uczelni. W tym względzie tezy zjazdowe wysuwają sporo postulatów, wymagających szczególnych rozwiązań, usankcjonowanych zmianami w ustawie o szkolnictwie wyższym, która przestała odpowiadać współczesnym wymogom.

Chodzi o wprowadzenie dalszych zmian, zmierzających do integracji kadry naukowej i środków materialnych w instytutach naukowych lub dużych katedrach. Zaleca się także wprowadzenie elastyczniejszych form organizacyjnych, opartych o działalność zespołów powoływanych na określony czas, dla realizacji konkretnych zadań. Proponowany model organizacji nauki ma opierać się na zespołowym wysiłku uczonych, w przeciwieństwie do obecnych katedr, często małych, odizolowanych od reszty świata naukowego, kierowanych przez przysłówiowego już profesora feudała. Słowem, chodzi o to, by w miejsce sztywnej struktury hierarchicznej powstały operatywne zespoły pracowników nauki, zdolne do podejmowania zadań w danej chwili szczególnie potrzebnych gospodarce czy kulturze narodowej.

Tę ideę tezy konsekwentnie rozwijają, postulując m. in. systematyczne podnoszenie poziomu zawodowego i politycznego pracowników nauki, a na szczególną uwagę zasługuje zaakcentowanie potrzeby stworzenia lepszych niż dotychczas warunków rozwoju młodej kadry naukowej. Dotychczasowa hierarchiczna struktura ośrodków naukowych długo nie pozwala młodym i ambitnym ludziom na „rozwiniecie skrzydeł”, m. in. dlatego, że najbardziej twó-

cze lata muszą oni przeznaczać na samo zdobywanie stopni naukowych. Właściwie liczy się u nas dopiero doświadczenie, a więc człowiek zazwyczaj po czterdziestce; proces zdobywania wyższych stopni naukowych jest w Polsce zbyt powolny. Tezy postulują rozwiązanie możliwości rezygnacji z wymogu habilitacji przy powoływaniu docentów.

„Należy — czytamy w tezach — przeciwdziałać korporacyjno-hierarchicznej zależności w kolektywach uczelnianych i popierać taką przebudowę struktury wewnętrznej szkół wyższych, która odpowiadałaby współczesnym wymogom organizacji pracy badawczej i dydaktycznej”.

Tezy mówią też o potrzebie stałego doskonalenia kadry, m. in. drogą studiów podyplomowych; słuszną jest np. sugestia, by w podstawowych dziedzinach gospodarki, zwłaszcza w przemyśle, wprowadzić obowiązkowe uzupełnianie wiedzy, połączone ze zdobywaniem stopni specjalizacyjnych. Jakże często bowiem inżynier lub ekonomista poprzestaje na tym, co zdobył podczas studiów, zazwyczaj sporo zapominając, choć życie niesie z sobą zagadnienia, o których w latach swoich studiów nawet nie słyszał. W ogóle powiązanie nauki z życiem, z gospodarką narodową jest nicią przewodnią też zjazdowych, które m. in. stwierdzają:

„Programy i organizacyjna działalność uczelni, a zwłaszcza praktyki, prace dyplomowe i staże, praca kół naukowych winny być tak ukierunkowane, aby służyły pogłębieniu wiedzy szkół z życiem i kształtowaniu socjalistycznego stosunku do pracy”.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Obrazy z Muzeum Narodowego na wystawie w Bregenz

WIEDEN (11). W tych dniach otwarto w Bregenz w Austrii wystawę pn. „Angelica Kauffmann i jej współcześni”. Wśród eksponatów nadesłanych przez muzea europejskie znalazło się 7 obrazów z Muzeum Narodowego w Warszawie. Angelica Kauffmann, osiemnastowieczna malarzka i graficzka, zajmowała się głównie portretem, m. in. namalowała wiele portretów osobistości polskich. Wśród 7 obrazów wysłanych do Bregenz z Muzeum Narodowego znajduje się 5 portretów pędzla A. Kauffmann. W październiku wystawa zostanie przewieziona do Wiednia, gdzie czynna będzie do stycznia 1969 r.

jeżdża na zawody samochodowe do Monte Carlo. Zawiera znajomości. Romans. Wraca do kraju. Aresztowanie. Klątwa rodzinna. Ale obok tej interesującej fabuły wiele życia wewnętrznej autora.

Spojrzenie na stosunki na Zachodzie i na współczesną Czechosłowację. Psychologiczna.

FRANTOWE PRAWA. Oryginał starożytny z 1518 r. Spolszczył, skomentował i postawieniem opatrzył Józef Magnuszewski. PIW, s. 24, c-na zł 15. Jest to zbiór szesnastowiecznych i wcześniejszych anegdot mniemanego autora czeskiego wesołka Franty. Literatura plebejska tego typu znana była i w Polsce. Przekład jest stylizacją na polszczyznę czasów Reja i Kochanowskiego. Również stylizowane ilustracje.

Andrzej Dobrzyński, Janusz Sowa: WSPÓŁCZESNA MŁODZIEŻ WIĘSKA. Problemy i zadania wychowawcze. KIW, s. 79, cena zł 4.

Analiza modelu młodzieży wiejskiej roku 1968, na tle aktualnego stanu rolnictwa i warunków społeczno-ustrojowych wsi z uwzględnieniem roli organizacji młodzieżowych.

Theodosius Dobzhansky: DZIEDZICZNOŚĆ A NATURA CZŁOWIEKA. PWN, s. 173, cena zł 10.

Znakomity genetyk polskiego pochodzenia, zebrał w książce podstawowe informacje na temat tych aspektów genetyki, które związane są z pochodzeniem i przyszłością człowieka.

Kartki dla Ewy

Stereotypy

Anglik jest dżentelmenem, Niemiec pedantem, Włoch uwielbia kobiety, a Szkot skąpiradło dzieli zapałkę na czworo. Jegomość chudy jak tyka powinien być z usposobienia zgryźliwym śledziennikiem, a zahukana kobiecina dobrą matką i żoną. Ruda jest fałszywa, blondynka zaś łagodną owieczką. Łysy żył w rozpuście więc los go pokarał czaszką gładką jak nieprzymierzając kolano, itd., itd. Na temat bliźnich zawsze mamy coś do powiedzenia. Najczęściej są to złośliwe uwagi na temat postury, ubioru, aparycji, co śmielsi dobierają się do wnętrza, radzi wiedzieć co w środku pokutuje. Wszystkie nasze stwierdzenia są niesłychanie autorytatywne i dogmatyczne. Podpieramy się wytartymi frazesami: „Jak cię widzą tak się piszą” — mawia wątpliwy elegant wciągając w upalną niedzielę czarne ubranie.

Ludzie chcą o sobie wiedzieć wszystko, bezbłędnie rozszyfrować każdego. Kiedy w najbliższym otoczeniu pojawia się osobnik odbijający wyglądem lub zachowaniem od pozostałych natychmiast zapuszczamy sondę wśród znajomych. Kto zacz ten, co nosi się tak szczególnie, odmieniec ani chybi najgorszego kalibru. Huzia na odmienca, wypatroszyć rodowód od pradziadka, suchej nitki nie zostawić, niech się indywiduum po świecie nie pnie i ludzi nie denerwuje.

W pewnej instytucji zwolniono sprzątaczkę. Nic by w tym fakcie nie było groźnego, gdyby nie zupełnie irracjonalne motywy wypowiedzenia. Makijaż, czysta sukienka pod roboczym fartuchem, głowa uczesana — horrendum. A jeszcze ktoś nieopatrznie powiedział do sprzątaczkę — pani kierowniczko — nie zaszczycając właściwej szefowej najmniejszym spojrzeniem. Gdyby historyjka zdarzyła się na głuchej prowincji lat temu czterdzieści zwałono by wszystko na stosunki społeczne. Dziś ten argument odpada.

Owa sprzątaczkę odeszła od obowiązujących wzorców — łach na grzbiecie, ścierka na głowie, pończochy w obarkanach. Była inna. Indywidualista zawsze i wszędzie budzi nasz niepokój. Czasem nas zaciekawia, ale tak na wszelki wypadek wolimy trzymać się z daleka. A nuż narobi bigosu w zupełnie nieoczekiwanym momencie, mówiąc, że coś jest czarne, kiedy my twierdzimy, że białe. Jednym słowem indywidualista to ktoś, kto nie przystaje do naszego modelu świata. Nie mieści się w naszych szufladkach. Ludzi mierzymy jednakową miarą, najczęściej swoją własną, zapominając przy tym wszystkim o prawie człowieka do osobistej godności, o ambicjach. Nie myślimy także o różnicach charakteru, wrażliwości uczuciowej, reakcjach emocjonalnych. Dowodzi to całkowitego braku rozeznania w psychologii i przynajmniej trzeba — o nas samych nie świadczy najlepiej.

Jedni w momentach tragicznych histeryzują, inni są zimni jak gład. To, że się nie uzewnętrzniają wcale nie świadczy o braku serca. Opanowanym przypisujemy brak uczuć, wylewnym ich nadmiar. Myśl, że mogłoby być inaczej, rzadko zaświta nam w głowie. No i jesteśmy rozczarowani, kiedy życie układa się nie tak, jak sobie planujemy. Kto temu winien? Naturalnie, co co nos w nie swoje sprawy wtykają.

BEGA



STANISŁAW SKOREK — członek zespołu teatralnego przy WSK Mielec. Rys. J. SIENKIEWICZ

Olbrzymia popularność filmu „Czterej pancerni i pies”

W II kwartale 1968 roku obejrzało filmy we wszystkich sieciach kin — 1 600 tys. widzów, w tym polskie — 470 tys. widzów.

W porównaniu z analogicznym kwartałem ub. roku notuje się wzrost widzów na filmach polskich o około 100 tys. widzów.

Olbrzymią popularnością cieszy się film pt. „Czterej pancerni i pies” w reż. Konrada Nałęckiego wg powieści J. Przymanowskiego, który obejrzało około 120 tys. widzów.

Z innych filmów polskich, który pobija rekordy frekwencji to film pt. „Wilcze echa” w reż. Aleksandra Scibor-Rylskiego.

Filmy radzieckie obejrzało około 150 tys. widzów. Dużą frekwencją cieszy się film pt. „Wojna i Pokój” (III seria) w reżyserii Sergiusza Bondarczuka.

J.L.

„Dekada książki polskiej” w ZSRR

MOSKWA (gł.). Literacka prasa radziecka szeroko informuje o odbywającej się w 13 miastach Związku Radzieckiego „Dekadzie książki polskiej”. Jak podaje „Literaturna Gazeta”, w ZSRR wydano dotychczas 1 900 tytułów książek polskich w łącznym nakładzie około 50 mln egzemplarzy.

Filmy telewizyjne na festiwalach

RZYM (rz.). Na dorocznym festiwalu telewizyjnym Prix Italia (14-20. IX.) polska TV zaprezentuje komedię filmową Andrzeja Wajdy pt. „Przekładaniec”, według scenariusza Stanisława Lema, z Bogumiłem Kobiłą w roli głównej oraz znany film dokumentalny Kazimierza Karabasa „Rok Franka W”.

Film — Film — Film



Kadr z filmu „Milosne kłopoty”.

FESTIWAL FILMOWY W TASZKIENCIE

(rz.). 21 października br. w stolicy radzieckiego Uzbekistanu, odbudowanym po trzęsieniu ziemi Tashkencie, rozpocznie się I Międzynarodowy Festiwal Filmowy Krajów Azji i Afryki. Każdy kraj biorący udział może pokazać jeden film fabularny i zestaw filmów krótkometrażowych nie przekraczający 45 minut projekcji.

Hasło nowego festiwalu brzmi: „Walka o pokój, postęp społeczny i wolność narodów”. W związku z tym mogą być dopuszczone na festiwal filmy państw z innych kontynentów, poświęco-

ne walce narodów Azji i Afryki o niezależność narodową.

Regulamin festiwalu w Tashkencie nie przewiduje konkursu, jury i nagród, a głównym celem tej imprezy będzie zapoznanie się z produkcją filmową krajów afro-azjatyckich, zbliżenie i współpraca filmowców tych krajów.

„SPOTKANIE Z PRZESZŁOŚCIĄ”

(rz.). 14 maja 1931 r. to data pamiętna w Szwecji. W dniu tym skierowano wojsko przeciwko strajkującym i demonstrowującym robotnikom w Aadal. Żołnierze spotkali de-

monstrantów w pobliżu wsi Lunde. Dowodzący oficer stracił głowę i dał rozkaz: „ognia”. Huk strzałów odbił się o ściany gór. Na ziemię upadły czerwone sztandary. Zginęło 5 osób.

Tragedia w Aadal zespółła klasę robotniczą Szwecji. W Sztokholmie odbyła się 19 maja demonstracja z udziałem 100 tys. osób.

Wydarzenia te są tematem filmu, który nakręca obecnie utalentowany szwedzki reżyser Bo Widerberg. Jedną z głównych ról — młodego trębacza gra 17-letni Peter Schildt. Zna on tylko jedną melodię: „Międzynarodówkę”, która rozbrzmiewa podczas demonstracji.

PROROCTWO VIDALA

(rz.). Jednym z kandydatów partii republikańskiej na stanowisko prezydenta USA — obok Nixona i Rockefellera — jest gubernator Kalifornii Ronald Reagan. W programie telewizyjnym znany amerykański powieściopisarz i dramaturg Gore Vidal przypomniał przed konwencją partii republikańskiej w Miami Beach pewien epizod z życia Reagana.

— Chyba nikt nie wie, że wniosłem swój wkład w kampanię przedwyborczą jeszcze w 1964 r., kiedy realizowano film oparty na mej sztuce „Ten najlepszy” — mówi Vidal (film reżyserii Franklina Schaffnera wyświetlany był przed kilku laty w Polsce i ukazywał kulisy walki o fotel prezydencki). Zaproponowałem wówczas niewielką rolę Ronaldowi Reaganowi, który oświadczył mi jednak, że nie interesuje go taki „epizod”, chę-

tnie natomiast zagrałby rolę jednego z kandydatów na prezydenta. Powiedziałem mu wówczas, że kandydatem na prezydenta nie zostanie.

Rola ta jednak tak bardzo przypadła mu do gustu, że stara się obecnie uzyskać ją w Miami — stwierdził Vidal.

FILM BALETOWY BALANCHINA

(jr.). Sławny choreograf George Balanchine zrealizował film baletowy osnuty na tle dzieła Szekspira „Sen nocy letniej”. Muzyka do tego filmu oparta została przede wszystkim na motywach utworów Mendelssohna. Zdaniem krytyki, film baletowy Balanchine'a jest dziełem niezwykle interesującym.

TRUDNOŚCI FILMU ALGIERSKIEGO

(rz.). Biuletyn Ogólnonarodowego Centrum Filmowego przynosi artykuł o problemach kinematografii algierskiej.

Główna słabość młodej kinematografii algierskiej — to szczupłość rynku krajowego, który tylko w nieznanym stopniu zwraca sumy wyłożone na realizację filmów fabularnych. Dotychczas ani jeden film algierski nie zainteresował zagranicznych dystrybutorów, a w kraju znajduje się tylko 320 kin. Chociaż Algierczycy chętnie chodzą do kina — ogromne połacie kraju pozabawione są starych kin. Ostatnio utworzone zostało przedsiębiorstwo pn. „Ludowe kino ruchome”, które dysponuje 10 autobusami; potrzeby są jednak znacznie większe. Także system podatkowy w Algierii jest niekorzystny dla producenta. O-

trzymuje on zaledwie 14 proc. ceny biletu, podczas gdy w innych krajach arabskich część ta sięga 40 proc. Również brak laboratoriów w Algierii powoduje, że cały proces obróbki taśmy wykonany jest za granicą, co wpływa na wzrost wydatków przy realizacji filmu.

INGMAR BERGMAN UKOŃCZYŁ 50 LAT

(rz.). Znakomity reżyser filmowy i teatralny — Ingmar Bergman obchodził w tych dniach 50 rocznicę urodzin. Swą karierę reżyserską rozpoczął w 1944 r., jako najmłodszy w Szwecji dyrektor teatru. W tym samym roku w Svensk Filmindustri powstał pierwszy film oparty na jego scenariuszu — „Hetz”. Duński dziennik „Politiken” zamieścił wywiad z Bergmanem, który powiedział m. in.: Zanim wypuszczam film w świat zapraszam przedstawicieli różnych grup społecznych do obejrzenia go, aby zapoznać się z ich reakcją. Nigdy jednak niczego nie zmieniam, tworzę to co czuję, tylko tak potrafię pracować.

PIERRE BRASSEUR W FILMIE BOROWCZYKA

(rz.). Reż. Walerian Borowczyk pracuje obecnie nad filmem fabularnym „Goto, Pile d'amour”. Główną postacią jest człowiek sprawujący władzę nad mieszkańcami niewielkiej wyspy. W roli tej występuje Pierre Brasseur. Jesienią W. Borowczyk przystępuje do realizacji pierwszego po dłuższej przerwie filmu w Polsce. Będzie to ekranizacja „Mazepy” Słowackiego.

(K1-PAP)